



Zeszyty TŁUMACKIE

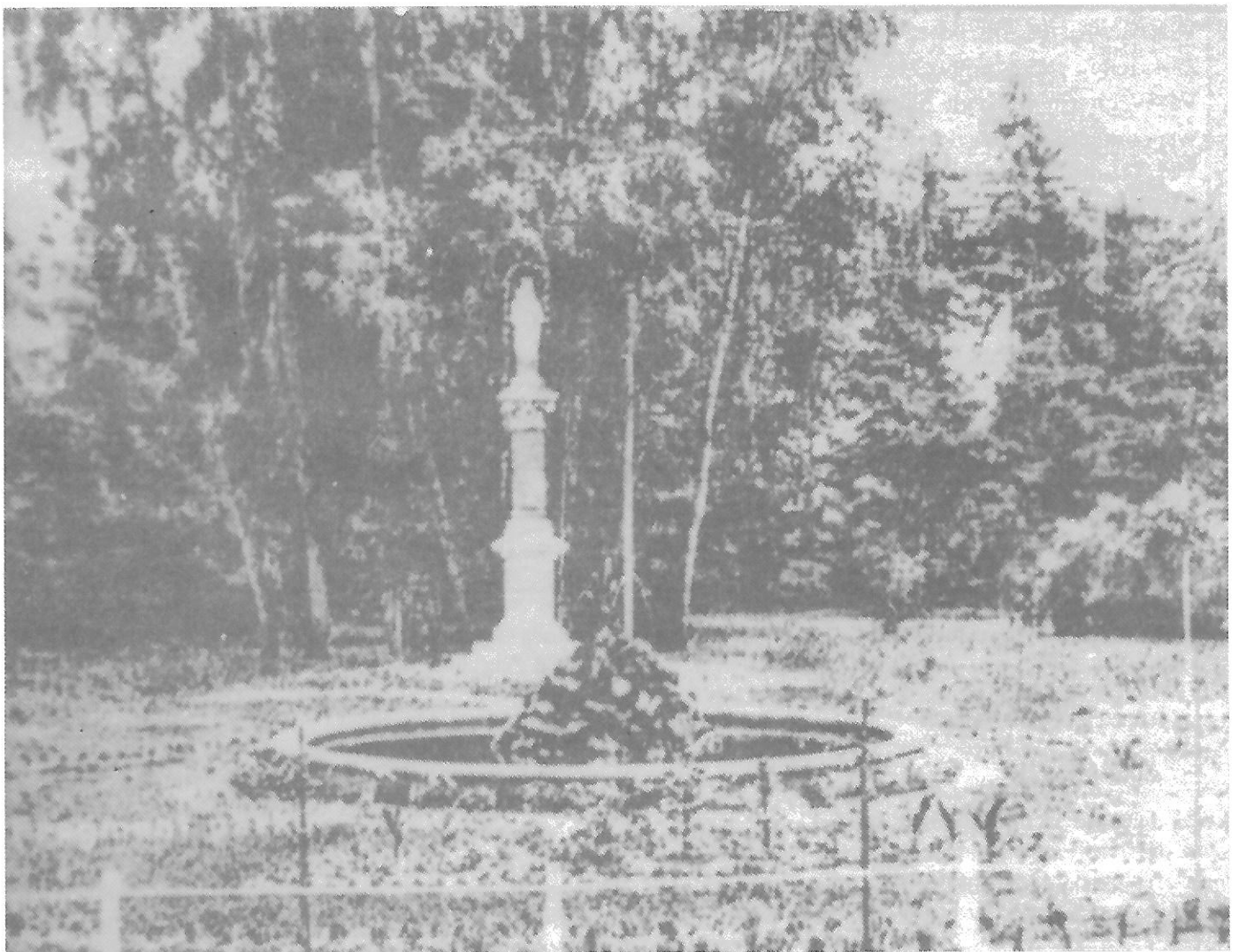


I KWARTAŁ 1998

ISSN : 1426-4129

Nr 1 (9)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Spis treści

Wielkanocne bazy – wiersz Jan Johnson	1
List z Sybiru	1
I Tłumackie sylwetki	
Wspomnienie o profesorze Samuelu Eile – fragment książki Wiesława Kielara pt. „I nasze młode lata”, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1987	2
Przyjaciele z Tłumacza – Jerzy B. Kos	4
II Historia Tłumacza	
Tłumacz w latach 1919-1939 – Na podstawie książki Kamila Barańskiego pt. „Przeminęli Zagońcacy, Chliborobi i Chasydzi”, wydanej w 1988 r. w Londynie, opracowała Krystyna Ossowska-Korta.	4
III Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Kronika – Calendarium miasta Tłumacza i powiatu tłumackiego (c.d.) – Michał Nikosiewicz	6
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski	7
Dzieje Gimnazjum w Tłumaczu – Michał Nikosiewicz	10
Ze wspomnień hospitantki – Maria Molisak-Ossowska	11
Orkiestra gimnazjalna – wiersz Henryk Wilczewski	12
Przedszkole w Tłumaczu. Wspomnienia – Czesława Mandyna-Kramarz	13
IV Tłumacz w latach 1939-1945	
Krwawe żniwo wojny – Na podstawie zapisków p. Klementyny Bilińskiej opracowała Krystyna Ossowska-Korta	15
Śmierć bociana – Czesława Koczwarą-Kałuża	15
V Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża	
Zasłużony i dobry proboszcz Tłumacza – Ks. Lesław Jeżowski	16
VI W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Wspomnienia sybiraczki (c.d.) – Leonora Grennadier-Złotnik	19
VII Tłumacki Holocaust	
Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi – Shlomo Blond – Ciąg dalszy wyjątków z książki „The Righteous Gentiles”, wyd. w Izraelu w 1970 r.	21
VIII Wiadomości z życia tłumaczan	
Tłumacki opłatek – Roma Lityńska-Króliczek	22
Z protokołu – Jerzy Czyżycki	23
Przeżyjmy to jeszcze raz – Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945-1995 (c.d.) – Janina Petrus-Duszyńska	23
IX Listy, informacje, apele	26
X Podziękowania, ofiarodawcy	27
Nasz słowniczek	28

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Skr. poczt. 1042, Wrocław 3. Tel./fax 071/44-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki
Tłumacza. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Alleluja! Alleluja!

**Chrystus Pan Zmartwychwstał – prawdziwie powstał !!!
Najserdeczniejsze życzenia Wesółych Świąt Wielkanocnych
wszystkim Tłumaczanom, Kresowianom i naszym Czytelnikom**

**składa
Redakcja i Zarząd Oddziału**

Jan Johnson

Wielkanocne bazy

Jak ślicznie zakwitły bazy,
Puszyste kotki na nitkach wiszące.
Jeszcze nieduże, malutkie na razie.
Lecz na Wielkanoc będą duże i lśniące.
A w Tłumaczu wierzb było wiele,
Rzędem nad Tłumaczykiem rosnące,
A wokół trawy i pachnące ziele
I niekiedy bociany na łąkach brodzące.
W Niedzielę Palmową bywało ciepło,
Radośnie z baziami szliśmy do kościoła,
Zdaje się, że to niedawno... a już uciekło...
I tylko wspomnienie ten obraz przywoła.
A potem uciecha, palmy już są w ruchu:
„Bije palma bije, za tydzień Wielkanoc!”
Śmieją się starsi: „no nie daj się zuchu,
Bo nie dostaniesz ciastka na dobranoc.
I już Wielkanoc! Wracamy po sumie,
Słoneczko przygrzewa, ozłaca człowieka,
A potem spacer – wesole i w zadumie...
Czy to był sen?... Co jeszcze nas czeka?



List z Sybiru

W dniu 13 kwietnia 1940 roku – 58 lat temu, sowiecki najeźdźca dokonał największej wywózki na Sybir polskiej ludności kresowej. Była to przeważnie inteligencja, rodziny wcześniej aresztowanych urzędników państwowych, przeważnie same kobiety z dziećmi.

Publikujemy poniżej dokument z archiwum dr. M. Nikosiewicza pisany przez nasze Tłumaczanki z Sybiru oblasť (województwo) Kustonaj, rejony (powiaty) Pieszkowska, Fiodorowska. Na okładce przedstawiamy mapę tych terenów.

Ten wzruszający list świadczy o postawie naszych Krajank, pomimo nieludzkich warunków życiowych, w jakich się tam znalazły, potrafiły zorganizować się i zebrać podpisy z kilku wsi oddalonych od siebie po kilkanaście kilometrów.

Wszyscy jesteśmy ciekawi, czy takie listy dochodziły do Archidiecezji Lwowskiej i czy były możliwości na odpowiedzi? Może ktoś na to odpowie?

Redakcja

Rok 1941

Sybir 18 III 1941 r.

Do Ekscelencji Duszpasterza
ks. Biskupa Diecezji Lwowskiej

My zesłanki Sybiru, w okresie Wielkiego Postu odczuwamy brak rekolekcji i pokrzepienia duchowego. Nie będąc w możliwości przystąpienia do Stołu Pańskiego, prosimy o udzielenie nam i dzieciom naszym absolucji. Abyśmy lżej mogły dźwigać Krzyż, który Najwyższy nam przeznaczył. Pragniemy w dniu Zmartwychwstania bezgrzesznie zaśpiewać „Christus iam resurrexit”, a wspólnie „Te Deum Laudamus”. Z gorącą wiarą oddalone o tysiące kilometrów, pozostajemy zawsze wierne Kościołowi i Duszpasterstwu.

Wieś Chorostanka:

Czyżycka Maria
Czyżycka Waleria
Czyżycka Jadwiga
Kaczorowscy F., A., K.
Grzeszczuk Maria
Hirschmüllerowa Józefa
Hirschmüller Leokadia
Zielińska Zofia
Hirschmüller Bolesław
Zdzisława Seidlerowa
Mira Seidler
Zdzisław Seidler
Kobusiak Henryk
Kobusiak W.
Karolina Koczan
Krewniak Józefa,
Jadwiga i Mieczysław
Staniszewski Z., S., i Krzys

wieś Pryozioro:

Maria Jeżowska
Zbigniew Jeżowski
Srokowa Zofia
Cecylia Tymińska
Stefania Raczkowska
Stanisław Raczkowski

Stefania Humeńczukowa
Emilia Sauerówna
Olga Grenadier
Leonarda Grenadier
Kozłowska Maria
Joanna Burczyńska
Stanisław Burczyński
Maria Burczyńska
Jadwiga Burczyńska
Józef Burczyński
Panachida Stanisław
Panachidowa Józefa
Panachida Czesława
Panachida Nusia
Panachida Zofia

wieś Batmanówka:

Maria Białkowska
Niunia Białkowska
Henryk Białkowski
Maria Pikulska
Zosia Pikulska
Czesław Pikulski
Firlejowa Emilia
Firlejówna Stanisława
Firlejówna Maria
Firlej Bronisław

wieś Dawidówka:

Janina Tuzinkiewiczówna
Józefa Kochańska
Stanisław Kochański
Cesia Kochańska
Nusia Kochańska
Wolańska Janina,
Schmidtowa Maria
Skowrońska Maria
Stupnicki Roman
Skowroński Staniaław
Sobczuk Maria
Sobczuk Czesława
Sobczuk Józef
Plajsowa Stefania
Przybylska Helena
Łasecka Zofia
Łasecka Teresa
Łasecki Henryk
Sanecka Jadwiga
Sanecki Wiesław
Sanecki Hendryk
Sanecka Anna
Stojanowska Elżbieta
Stojanowska Irena
Stojanowska Tamara
Stojanowski Janusz
Stojanowska Iwonka

Tłumackie sylwetki

Wspomnienie o profesorsze Samuelu Eile

Fragment książki Wiesława Kielara pt. „I nasze młode lata”, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1987

Mile złego początku

Najczęściej urywaliśmy się z geografii, której uczył doktor Eile, opiekun klasy. Nie sprawdzał listy obecności, a nawet jeśli, to i tak dawał się łatwo oszukać. Profesor Eile miał bardzo krótki wzrok, wystarczyło więc, że ktoś krzyknął za nieobecnego „jestem”, i wszystko było w porządku. Nic dziwnego, że stosunkowo szybko zrobiłem wielkie postępy w grze w ping-ponga. Ale dopóty dzban nosi wodę, dopóki się ucho nie urwie. Któregoś dnia, w czasie meczu z doskonale usposobionym Jurkiem Kruszelnickim, nakryto nas w herbaciarni. Oczywiście oberwaliśmy z geografii dwójce i nie pomogły nawet pięknie rysowane i kolorowane mapki, którymi dotychczas udawało mi się czarować profesora.

Profesor Eile był, jak już wspomniałem, wychowawcą naszej klasy i, jak przystało na dobrego opiekuna, wywiązywał się z zadania doskonale. Ile tylko mógł, wybraniał nas przed słusznymi atakami innych profesorów. W swej dobroduszości posuwał się czasem aż do skrajnej naiwności. Tymczasem my, dranie, osły dardanełskie, odwiedziliśmy się „robiąc go w konia” w każdej niemal sytuacji. Ale profesor jakby tego nie widział i nie zauważał. Znosił nasze złośliwości z cierpliwością świętego w myśl apostołskiej

zasady: jeśli cię ktoś w twarz uderzy, nadstaw mu drugi policzek. Być może, że chodząc codziennie rano do kościoła jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, wstawiał się też i za nas, grzesznych nieuków, do Pana Boga, błagając, by nas oświecił i wrócił na łono porządnym uczniom. My zaś nawet pobożność profesora staraliśmy się wykorzystać: chodziliśmy do tego samego kościoła na krótko, głównie po to, by nas tam dostrzegł. Tą faryzeuszowską pobożnością może udało się nam zwodzić doktora Eilego, gorzej natomiast było z wszystkowiedzącym Panem Bogiem. Dwójce sypały się jak z rogu obfotoci, a cierpliwość profesora Eilego była już na wyczerpaniu. Jak długo można tolerować notorycznych nieuków?

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, jak i nieugiętość pozostałych belfrów, trzeba było mieć się na baczności i solidnie posiedzieć nad książką. Nie było to łatwe, zwłaszcza, że nastąpiła piękna wiosna, a diabeł kusił do używania wszelkich ziemskich przyjemności, nic w zamian nie żądając.

(...)

Ostatnia przed wakacjami wywiadówka wykazała nawet, że jestem bez dwóci. Nie ze wszystkich jednak przedmiotów zdążono mnie przepytwać. Niebawem profesor Mul znowu oblał mnie z biologii, profesor Eile zaś zagroził, że da mi

niedostateczny z geografii, co zupełnie zlekceważyłem. Ciuciu, jak o nim mówiliśmy, sypał często chłopakom dwóje za to, że mu dokuczali, ale nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś przez niego musiał repetować.

Profesora Eilego lubiliśmy, ale też dokuczaliśmy jak nikomu innemu. Wymyślaliśmy ciągle nowe kawały, które Ciuciu znosił cierpliwie. Czasami jednak doprowadzaliśmy go do ostateczności i wtedy ze zdenerwowania zaczynał seplenić:

– Cisio!... cio to zia hałas, cio?

Na suficie ukazywał się wtedy z reguły portret profesora. Promyk słońca złapany w okrągłe lustro przekazywał wiernie karykaturalną podobiznę, przypominającą Agapita Krupkę z ostatniej strony „Światowida” w dużym powiększeniu, co niesłychanie rozweselało rozbisurmanione bractwo. Profesor, podejrzewając słusznie, że to ja jestem autorem widowiska, przesadzał mnie za karę do pierwszej ławki, zawsze na jego lekcji wolnej. Ławka ta była pułapką na roztargnionego Ciucia, który stale zapominał, że jej blat jest zwykle wysmarowany kredą lub atramentem. Żeby uciszyć rozbrykaną klasę, podchodził do tej ławki i walił dłonią w pulpit, po czym odruchowo tą samą ręką przeciągał po łysinie, pozostawiając na niej biały lub niebiesko-zielony ślad. Spostrzegłszy w końcu, że ma brudne dłonie, machinalnie wcierał je w czarny żakiet, chusteczką przecierał cwikier, spocone czoło i łysinę. Poprawiwszy pod szyją motylka, sięgał do wewnętrznej kieszeni po notes.

– Już ja wam dam, batiary!... cio!... Ziobacimy, ci teraz będzie wam tak wesoło...

Pytał nas po kolei, wlepiając każdemu dwóje.

– Nie umiesz?... cio? Ziopomniałeś!... cio!... Niedostatecznie!... Następny!... Tak siamo niedostatecznie!

Trzęsąc się ze zdenerwowania ręką pisał czerwonym ołówkiem cztery, to znaczy dwóje. Zdarzało się często, że z powodu irytacji i bardzo krótkiego wzroku wpisywał notę nie temu, komu należało. W ten sposób otrzymałem w notesie profesora ocenę bardzo dobrą za Kiwałę, najbliższego

mojego sąsiada, lub niedostateczną za Iwańskiego, co było wprost śmieszne, gdyż byłem naprawdę dobrym geografem. Dwója od Ciucia nie była groźna, niemniej należało profesora jakoś udobruchać. Nie wypadało też, żeby wychodził z klasy, której był wychowawcą, tak zdenerwowany i w dodatku wysmarowany. Po lekcji pucowaliśmy więc z zapalem naszego dobrodusznego opiekuna, patrząc uważnie na jego minę, czy aby nam już wszystko darował, gdyż uczuć swoich nigdy nie umiał ukryć.

– Już dobrze, dobrze!... Dziękuję wam, kochani chłopcy!

Kiedy doktor Eile został ojcem dorodnego syna, delegacja klasy udała się któregoś dnia po południu złożyć mu gratulacje. Rustykalna willa państwa Eilów stała w odosobnieniu, w ładnym miejscu, odgradzona od parku miejskiego wysoką siatką. W dniu wizyty byliśmy odświętni, grzeczni, anielscy i było to nawet szczere. Nie zapomnieliśmy nawet o kwiatach. Profesor był tak szczęśliwy i wzruszony, że jego klasa umiała się znaleźć, iż dosłownie nieba by nam przychylił. Pani domu częstowała nas najlepszymi słodyczkami i wspaniałym kompotem, a mały Stasio darł się wniebogłosy, wystraszony widąc naszą obecnością. Ojciec, starając się go uspokoić, kołysał miarowo wózek.

– Cisio, cisio – przemawiał pieszczotliwie.

O dziwo, nie roześmieliśmy się, czym daliśmy dowód wysokiej kultury. W końcu pani Eilowa, mając dość tej wizyty zwróciła się do nas:

– Stasio chce spać.

Dopiero w parku daliśmy upust długo wstrzymywanej, niezdrowej wesołości. Skacząc z drzewa na drzewo niczym małpy w dżungli, wydawaliśmy dzikie okrzyki Tarzana, gdy inni wrzeszczeli: Ciuciu! Ciuciu!, a jeszcze inni uciszali nas słowami profesora: Cisio! Cisio! Ach, jakże nam wtedy było wesoło! □

Prof. Samuel Eile był również przez dłuższy okres nauczycielem gimnazjalnym w Tłumaczu.

Redakcja



Grono pedagogów państwowego gimnazjum w Tłumaczu: Jan Sądowicz, ks. Antoni Jaworski, dyr. Henryk Krzyżanowski, ks. Józef Polaczek, Michał Waligóra, Jan Leśniak, Maksymilian Rosenbaum, Samuel Eile, Stanisław Mendrala, Józef Hrapkowicz, Marian Mierzwiński.

Przyjaciele z Tłumacza

Jerzy B. Kos

Na wyblakłych fotografiach zachowały się ich chłopięce porterty: smągłe twarze, krótko przycięte włosy, oczy o żywym spojrzeniu. Na kilku zdjęciach z obozów harcerskich – ci sami chłopcy w skautowskich kapeluszach, z długimi tykami w rękach, objuczeni plecakami.

Współczesne zdjęcia prezentują mężczyzn w sile wieku: pobrużdżone czoła, posiwiałe włosy, uśmiechnięte, ale już nie tak radosne twarze.

Kiedy kończyli gimnazjum w Tłumaczu mieli po dwadzieścia lat. Teraz, jeżeli jeszcze żyją, mają blisko lat czterdzięć.

Karol Kraus chodził do tej samej klasy z Czesławem Tuzinkiewiczem, a o klasę niżej byli: Michał Nikosiewicz, Roman Daca, Leon Śniechowski, Marian Kasperski i bracia Domaszewscy. Do tego również kręgu koleżeńskości należały: Janina Tuzinkiewicz, Stanisława Kasperska i Genowefa Kulczycka, a także najmłodszy z nich Romuald Tuzinkiewicz.

Zbliżyło ich do siebie to samo – dla większości – miejsce urodzenia, ta sama szkoła, kościół, drużyna harcerska i klub sportowy „Czuwaj”, a także młodzieńcze porywy, przygody i rozterki. Razem rośli i dojrzewali, kształtowali siebie wzajemnie, pomagali sobie w potrzebie. A później – po skończeniu tłumackiego gimnazjum – poszli własnymi drogami, nigdy nie tracąc ze sobą kontaktu. Ich młodzieńcza przyjaźń przetrwała całe życie.

Czesław Tuzinkiewicz i Roman Daca wybrali teologię. Pierwszy został paratem i proboszczem parafii św. Doroty i św. Stanisława we Wrocławiu, a drugi – pułkownik akow-

skiego podziemia – kanonikiem Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Karol Kraus, Michał Nikosiewicz i Romuald Tuzinkiewicz zostali lekarzami. Dr Michał Nikosiewicz, okulista z Warszawy, jest kronikarzem i dziejopisem zafascynowanym Tłumaczem i Kresami. Dr Romuald Tuzinkiewicz był wiele lat dyrektorem Szpitala Wojewódzkiego we Wrocławiu.

Trzech innych: Marian Kasperski i bracia Domaszewscy zostali lekarzami weterynarii. Natomiast Leon Śniechowski – nauczycielem gimnazjalnym.

Tłumacz jest miastem związanym – poprzez Żonę – z dziejami mojej rodziny: przywoływanym we wspomnieniach i rodzinnych opowieściach o szczęśliwej młodości oraz o trudach wojny i okupacji, wywózkach na Sybir, wypędzeniu i głodzie. Przy ulicy Szlacheckiej stał dom, w którym spędziła młodość moja Teściowa – Stanisława Kasperska i jej brat – dr Marian Kasperski. W sąsiednim domu mieszkała Maria Dębówna, nasza kuzynka, córka Michała Dębca, kierownika Szkoły Powszechnej i dowódcy obrony Tłumacza w 1939 roku. Kilka ulic dalej był dom rodzinny Krausów z dobrze wyposażoną kuźnią, a za cerkwią dom Tuzinkiewiczów z rozległym ogrodem. Za parcelą więzienia stał dom, w którym mieszkali państwo Kulczyccy, których córka stanęła przed ołtarzem z naszym Wujem – Marianem Kasperskim, a ślubu im udzielił legendarny tłumacki proboszcz ks. Edward Tabaczkowski.

Kto o tym jeszcze pamięta? □

Historia Tłumacza

Tłumacz w latach 1919-1939

Na podstawie książki Kamila Barańskiego pt. „Przeminęli Zagończycy, Chliborobi i Chasydzi”, wydanej w 1988 r. w Londynie, opracowała Krystyna Ossowska-Korta

Chcąc ocalić od zapomnienia jak najwięcej sylwetek obywateli Tłumacza, jak też przypomnieć nazwy instytucji, organizacji i przedsiębiorstw działających w okresie międzywojennym w tym kresowym miasteczku sięgnęliśmy po książkę Kamila Barańskiego pt. „Przeminęli Zagończycy, Chliborobi i Chasydzi”. Rzecz o ziemi stanisławowsko-kołomyjsko-stryjskiej, wydanej w Londynie w 1988 r. W książce tej autor przedstawił w zarysie dzieje miast powiatowych i miasteczek ziemi na południowo-wschodnich krańcach Polski u granic z Węgrami i Rumunią II RP. Wiadomości zawarte w książce Barańskiego staraliśmy się uzupełnić informacjami zaczerpniętymi z

innych źródeł, a przede wszystkim z drukowanego w ZT *Calendarium* autorstwa M. Nikosiewicza. Zdajemy sobie sprawę, że zamieszczona publikacja posiada pewne usterki. Przyczyną tych niedociągnięć są trudności ze zgromadzeniem materiałów źródłowych.

Sądzymy jednak, że drukowany fragment przybliży naszym Czytelnikom miniony świat „zagończyków, chliborobów i chasydów”.

Wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 r. i kolejne klęski militarne wszystkich trzech zaborców: Rosji¹, Niemiec i Austro-Węgier oraz wybuch rewolucji na terenach

tych państw sprawiły, że przesłanki odzyskania niepodległości przez Polskę stawały się realne. Zanim to jednak nastąpiło przez ziemie polskie przetoczył się walec wojny, niszcząc i rujnując te ziemie.

Tłumacz, który znajdował się pod zaborem austriackim, był w czasie wojny dwukrotnie zajmowany przez wojska rosyjskie (od jesieni 1914 r. do lata 1915 r., a następnie od lata 1916 do września 1917 r.).

W listopadzie 1918 r. wojna zakończyła się i Polska po przeszło wiekowej niewoli odzyskała swoją niepodległość. Nie rozstrzygnięta jednak została sprawa przynależności państwowej wschodniej Galicji, w obrębie której znajdował się Tłumacz.

Po wycofaniu się w 1918 r. wojsk austriackich ze wschodniej Galicji, na terenach tych proklamowano utworzenie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL). Wówczas rozpoczęły się o te ziemie walki polsko-ukraińskie, które trwały do lipca 1919 r., a zakończyły się klęską strony ukraińskiej i położeniem kresu istnienia ZURL.

Do Tłumacza wojska polskie, pod dowództwem gen. Żeligowskiego, wkroczyły w maju 1919 r. Od tego momentu rozpoczął się nowy rozdział w życiu miasta, już w ramach państwowości polskiej. Polska administracja ustaliła, że Tłumacz będzie siedzibą powiatu o pow. 952 km². Powiat był wybitnie rolniczy, pod uprawę przypadało 57,5% powierzchni ziemi, a lasy zajmowały 15% obszaru. W 1931 r. Tłumacz liczył 5.788 mieszkańców, a w 1939 r. – 9118.

Z Tłumacza do Pałahicz (odcinek 6 km) prowadziła kolej lokalna. Zawiadowcami stacji Tłumacz byli: S. Demiańczuk, a następnie Olejnicki.

Tłumacz i powiat tłumacki zamieszkiwała ludność zróżnicowana pod względem narodowym i religijnym (Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, było też trochę Niemców). Pomimo tych różnic życie tamtejszego społeczeństwa toczyło się w atmosferze zgody i poszanowania odrębności narodowych i religijnych.

Na czele powiatów stali starostowie. Funkcję tę w Tłumaczu pełnili: M. Dyduszyński, Z. Popiel, W. Skłodowski, R. Świątkowski, J. Kaleta. wice-starostą był J. Jeżowski.

Miastem zarządzali burmistrzowie: K. Sokołowski, J. Ruczkowski, M. Szankowski, L. Seidler. Zastępcami burmistrzów byli: ks. T. Baziuk, Schwefelgeist, L. Semel; sekretarzami: F. Burkiewicz i Lipski.

Naczelnikami Urzędu Skarbowego byli: K. Nikosiewicz i Kupras. Pracownikami tego urzędu byli: Osyp, Petrus, M. Ruczkowski. W kasie skarbowej skarbnikiem był A. Szkliwa. Nadzorem kontroli skarbowej kierował nac. Królicki. Na czele Urzędu Katastralnego stał powiatowy geodeta inż. J. Gabański.

Urzędem pocztowym kierował nac. A. Moszoro. Pracownikami tego urzędu byli: Agopsowicz, F. Błażek, W. i J. Tabińscy, W. Tyrchówna. Listonosze: Cichoń, Sienicki, Piotrowicz, Radłowski. Funkcję powiatowych komisarzy Policji Państwowej pełnili w Tłumaczu: Grzebieniuk, A. Reszczyński, Kozakiewicz, Glajc (Gleititz). Komendantem posterunku był Fr. Białkowski.

Miejską policją kierował naczelnik – Mytnik mając do pomocy policjantów: Bilińskiego, Łukasiewicza, Nasiadkę, Polowego.

W Tłumaczu znajdował się Sąd Powiatowy. Sędziami byli w różnych okresach m.in.: Burczycki, Drohomirecki,

Kłodnicki, Mercik, Obertyński, Szajna.

Zawód adwokacki uprawiali: Gotesman, Halpern, B. Hönigsberg, S. Jampoler, O. Komuszczyk, J. Makuch, Mandel, M. Rosenkranz, J. Salat, Schächter, Spund, M. Steinberg, H. Szapiro, G. Trybalki. Biura notarialne prowadzili: J. Czechowicz, Krawczyk, Pollo, Grabowiecki.

Naczelnikiem więzienia był Kuleczycki. Tłumacz posiadał zawodową straż pożarną i ochotniczą straż pożarną.

W Tłumaczu pracowało w okresie międzywojennym wielu lekarzy. Powiatowymi lekarzami byli: dr Pietrzycki, i dr K. Leśniakiewicz. Lekarzem miejskim była dr Ada Feuerman. Poza w/w w Tłumaczu praktykowali: dr J. Gelehter, dr Hausman, dr Kłodnicki, dr Tendler i jeszcze kilku innych, głównie narodowości żydowskiej.

Powiatowymi lekarzami weterynarii byli: Domaszewski i Dolhańczuk, a miejskimi: Mojseowicz i Bojczuk. Dentystryką zajmowali się lekarze i technicy: Doller, M. Gutstein, P. Milleband, Schächter, F. Rosemanowa, M. Rost.

Aptekę „Pod Orlem” przez trzy pokolenia prowadziła rodzina Szankowskich. Kontrolerem sanitarnym był Fr. Burczyński. Akuszerstwem trudniły się: A. Bednarczuk, M. Kołkowska, J. Piotrowicz. Dość dobrze rozbudowana była w Tłumaczu bankowość. Działały banki: Przemysłowy, Handlowy, Ziemiński, Bank Spółdzielczy Katolickiego Związku Samopomocy, Ukraiński Bank Kooperatywy, którego dyrektorem był Szawluk. Istniały w mieście Powszechna Kasa Oszczędności – dyr. Deyczakowski. Działały również: Towarzystwo Kredytowe „Jedność” (dyr. Jasiński), Związek Kredytowy, Spółdzielcze Towarzystwo Kredytowe „Oszczędność”, Okręgowe Towarzystwo Gospodarcze – prezes Rylski oraz Kasa Stefczyka.

Z uwagi na rolniczy charakter powiatu tłumackiego dobrze rozwinięty był na tym terenie przemysł rolno-spożywczy. Działało tu 49 młynów, 38 olejarni, 11 zakładów mleczarskich, 4 gorzelnie. Tereny powiatu tłumackiego bogate były w kamieniołomy, gips, wapno, gliny wysokowartościowe, co umożliwiło rozwinięcie przemysłu mineralnego. Istniało 6 cegielni, 4 wielkie kopalnie wapna, 9 kamieniołomów, 2 kopalnie gipsu, 1 fabryka wyrobów cementowych. Przemysł drzewny to: tartaki i 2 fabryki gontów. Działała w powiecie duża fabryka wyrobów koszykarskich i 3 chałupnicze wytwórnie koszykarskie. Istniały także 2 wytwórnie tkackie. W Tyśmienicy rozwijał się przemysł skórzany. W Tłumaczu istniał zakład produkujący sprzęt rolniczy.

Wielce pożyteczną rolę w rozwoju kultury rolnej spełniali właściciele ziemscy. W tym rolniczym powiecie było około 47 takich majątków. Majątek ziemski w Tłumaczu należał do M. Dolaisowej. Targi w mieście odbywały się w środy. Szczególnie dobrze rozwinięte były na terenie Tłumacza usługi oraz handel. Szacunkiem ogółu społeczeństwa cieszyli się rzemieślnicy, a kupcy prześcigając się w uprzejmościach sprawiali, że z przyjemnością odwiedzało się sklepy.²

(c.d.n.)

1 Rosja w pierwszej fazie wojny została pobita przez państwa centralne.

2 Wykaz przedsiębiorstw rzemieślników i kupców z Tłumacza zamieścimy na końcu tej publikacji w następnym numerach ZT.

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Kronika – Calendarium miasta Tłumacza i powiatu tłumackiego (c.d.)

Michał Nikosiewicz

Rok 1932

Lekarz powiatowy dr Pietrzycki przeszedł w stan spoczynku, a na jego miejsce mianowany został Kazimierz Leśniakiewicz.

Inspektor szkolny Kasper Mołczanowski otrzymał przeniesienie do Stanisławowa. Z tej okazji nauczyciele zorganizowali raut pożegnalny w sali Sokoła (obecnych było 200 osób).

Nowym inspektorem szkolnym został p. Bryła z Tarnopola.

Prywatne Seminarium Nauczycielskie otrzymało prawa publiczne na rok 1932/33.

Do gimnazjum przybył prof. Szymon Zubrzycki.

3 II Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wraz ze Strzelcem zorganizowało wspólny opłatek i zabawę taneczną.

14 I Związek Legionistów (prezes Świątkowski) obradował w sprawie ufundowania sztandaru dla Związku.

Związek Strzelecki w Klubowcach odegrał przedstawienie „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć”. W Tyśmienicy wystawiono „Strzelecką kolędę”, a dochód, 63 zł, przekazano na dom im J. Piłsudskiego. W Krzywotulach odbyła się strzelecka zabawa.

Młodzież Polska wystawiła jasełka w Niżniowie i w Nadorożnej. Następnie w Nadorożnej w domu TSL odbył się opłatek.

21 I W internacie seminaryjnym odbyła się zabawa seminarzystek z uczniami gimnazjalnymi, która trwała do godz. 23.

22-23 I Zarząd Związku Strzeleckiego zorganizował w Tłumaczu uroczyste obchody 69 rocznicy Powstania Styczniowego. W kościele odprawione zostało nabożeństwo żałobne, złożono wieniec pod pomnikiem Bohaterów o Wolność. W Sokole prof. Follprecht wygłosił prelekcję i wyświetlono przeżrocza.

24 I Koło PCK urządziło w sali Rady Miejskiej „herbatkę”, która trwała do rana.

25 I Kółko artystyczne przy Seminarium Naucz. Żeńskim odegrało w Sokole sztukę w 6 odsłonach, pt „Gdzie jesteś Panie?” (F. Żurawskiej). Dochód z przedstawienia przeznaczono na zakup dywanu do wielkiego ołtarza w kościele.

Drukarnia A. Winterfelda nosi nazwę „Kresowa”.

Na kolei zniesiono I klasę.

27 I Odbyło się walne zebranie Związku Oficerów Rezerwy. Prezesem Związku jest mjr Gabański.

30 I Obchody imienin prezydenta Ignacego Mościckiego. Odprawione zostało nabożeństwo, odbyła się akademie, na której prelekcje wygłosili: Świątkowski, Wilkoszewski i Michalski. W części artystycznej wystąpiły dzieci z ćwiczeniówki.

3 II Porządek obrad Rady Miejskiej: odkupienie stawu

od p. Dolaisowej, położenie chodnika na ulicy prowadzącej na cmentarz (ul. Narutowicza) oraz na innych ulicach, subwencje gminy dla seminarium.

14 II Uroczystości X-lecia pontyfikatu Ojca św. Piusa XI urządziła Sodalija Mariańska. Odbyły się akademie w szkołach, a wieczorem w Radzie Miejskiej.

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej zorganizowało w Niżniowie „herbatkę” z tańcami, a w Nadorożnej odegrało krotochwilę „Pan burmistrz Wielkich Kozłów” i zorganizowało zabawę taneczną.

22-24 II Manewry wojskowe odbyły się we wsiach pow. tłumackiego: Kutyskach, Delawie, Pałahiczach. Wojsko zakwaterowane było w mieście. Ćwiczenia odbywały się przy mroźnej pogodzie.

27 II W internacie seminarium zapalił się strop. Pożar ugaszono.

„Orełownik” drukuje nazwiska prenumeratorów.

5 III Walne zebranie Związku Pracy Obywat. Kobiet. Przewodniczącą Związku jest Janina Świątkowska. Związek liczy 50 członkiń i 14 kandydatek. Organizacja ta prowadzi dożywianie 150 dzieci w szkole, działa w Komitecie dla bezrobotnych, zorganizowała naukę robót ręcznych. (Należą do niej m.in. pp. Skowrońska, Seidlerowa, Wiszniewska, Hillowa, Dubicka).

8 III Zarząd Koła LOPP postanowił urządzić ćwiczenia oddziałów PW z pokazem obrony przeciwgazowej, pokazem lotnictwa i PCK. Postanowiono stworzyć oddziały p-gaz. przy strażach pożarnych.

14 III Zebranie Koła Przyjaciół Harcerzy. Prezesem jest p. Maliszowa zastępcą Kłodnicki, sekr. Hoffman, a skarbnikiem Dąbek.

18-19 III Obchody imienin marszałka Piłsudskiego. 18 marca przed tablicą z podobizną Marszałka na budynku Gminy odbył się koncert orkiestr. W następnym dniu po nabożeństwie 3 wyznań odbyła się defilada. W sali Sokoła zorganizowano poranek dla dzieci, a wieczorem akademie, na której m.in. wystawiono sztukę „Porucznik I Brygady”. W tym dniu odbyły się również zawody strzeleckie. Podobne uroczystości miały miejsce w Niżniowie i Nadorożnej.

22 III Zmarł dr Józef Turiański – profesor seminarium. Na pogrzeb do Lwowa wyjechała delegacja uczennic (36) i grona profesorskiego.

Uroczystości żałobne ku czci Żwirki i Wigury – tragicznie zmarłych lotników.

Od 1 sierpnia 1932 r. przestaje się przyjmować uczennice na I kurs seminarium. Szkoła ta ma ulegać stopniowej likwidacji. Obecnie liczy ona 86 uczennic. Kierownikiem została prof. Waleria Rzerzychowa.

Zlikwidowano Drukarnię Powiatową.

Komitety do spraw bezrobocia zbierają odzież, opał, żywność i pieniądze. Pomoc otrzymało 83 rodziny polskie,

110 ukraińskich i 88 żydowskich. Zorganizowano również kolonie dla dzieci ze Śląska.

W Bohorodyczynie Ochotnicza Straż Pożarna postawiła budynek straży i założyła kółko dramatyczne, które dało już kilka przedstawień.

14 IV „Święcone” strzeleckie w Lackim Szlacheckim (80 osób).

12-16 IV Odbył się 5-dniowy kurs dla drużyn obserwacyjno-meldunkowych LOPP. Uczestników 38. Kierownictwo kursu: E. Chrzanowski i kpt. Skowroński. Wykłady prowadzili: por. Seidler, kpt. Kaudelka i kpt. Jankowski.

27 IV Na walnym zebraniu Spółdzielczego Banku Katolickiego zmieniono nazwę banku na Bank Spółdzielczy Ziemi Tłumackiej. Zebranie było burzliwe – wystąpiono przeciw prezesowi ks. Kączorowskiemu, który dojeżdża z Monastryk, co pociąga znaczne koszty.

1 V Młodzież szkolna w Puźnikach odegrała w sali szkolnej „Wesele Józia i Kazi”. Potem odbyła się zabawa.

3 V Uroczyste obchody święta 3 Maja. W Tłumaczu: nabożeństwo, pochód, przemówienia. W szkołach odbyły się poranki, a wieczorem akademie i przedstawienie w Sokole. Uroczyste obchodzono to święto również w Tyśmienicy i Bratyszowie, gdzie SS. Józefitki przygotowały sztukę religijną „Bernadetta” i „Sen Staszka – górnik”. W Bohorodyczynie z tej okazji wystawiono sztukę „X Pawilon”. W Hryniowcach Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej rano oddało hołd Królowej Korony Polskiej, później odbył się pochód i festyn.

5 V Szkoła Ćwiczeń przy Seminarium wystawiła w Sokole przedstawienie „Zaczarowany dzwonek”, dialogi „Od słowa do słowa, wiosenna rozmowa” w wykonaniu Nusi i Stasia Mierzwińskich oraz „Kumoszki” w wykonaniu Jasińskiej i Damiańczuk.

W Tarnowicy Polnej kółko dramatyczne przy Straży Pożarnej odegrało „Cudowne leki” i „Kościuszka”.

11 V W sali Rady Miejskiej odbyło się walne zebranie „Towarzystwa walki z gruźlicą”. Prezesem jest Szankowski.

Przez cały maj grany jest z wieży kościoła tłumackiego hejnał w wykonaniu uczniów gimnazjalnych.

Boże Ciało w Tłumaczu: ołtarz pierwszy w kolorze błękitnym był przy seminarium, drugi w kolorze narodowym wystawiła p. Dolaisowa, trzeci ołtarz na zewnątrz cerkwi urządził proboszcz gr.-kat. ks. Ripecki, czwarty ołtarz przy elektrowni urządzony był przez pp. Tuzinkiewiczów.

Seminarium przyjmuje wpisy do szkoły ćwiczeń bez różnicy, jeżeli chodzi o narodowość i wyznanie. Maturę w Seminarium zdały 24 uczennice.

Towarzystwo Młodzieży Polskiej w Niżniowie wystawiło sztukę „W pogoni za szczęściem”.

Towarzystwo Szkoły Ludowej (oddz. Tłumacz) otrzymało w Markowcach od Ładomirskich grunt pod budowę polskiej szkoły. Wcześniej Ładomirscy dali grunt pod kościół i plebanie.

19 VI Związek Oficerów Rezerwy urządził w Tłumaczu wiec protestacyjny przeciw zaborszym zakusom Niemiec. Równocześnie urządzono zbiórkę na budowę łodzi podwodnej i budowę polskiego gimnazjum w Bytomiu.

„Dzień pieśni” zorganizował w Seminarium prof. J. Smoluchowski.

Koło Przyjaciół Harcerzy w Tłumaczu i Tyśmienicy przeprowadziło zbiórkę uliczną na kolonie letnie.

3 VII W Otyunii odkryto tajną fabrykę tytoniu.

Ochotniczą Straż Pożarną organizuje się w Tarnowicy Polnej, Hostowie i Krzywotulach Nowych.

Harcerze z Tłumacza wyjechali na obóz letni do Mikuliczyna. Komendantem obozu jest phm. K. Mytnik.

10 VII Zmarł Marian Krzywda Szankowski, aptekarz, burmistrz i honorowy obywatel miasta Tłumacza.

Na odpuszczeniu w Tłumaczu (26 VII) sumę celebrować będzie ks. E. Baziak (późniejszy biskup lwowski – M.N.).

Na pielgrzymkę do Częstochowy wyjechało z Tłumacza 15 osób.

W sierpniu delegacja Sokołów z Gniazda – Tłumacz wyjechała na Złot do Czerniowic.

W lipcu i sierpniu zorganizowano półkolonie dla dzieci polskich w Odajach. (Przed 40 laty była to wieś czysto polska, obecnie ludność polska stanowi 50% mieszkańców).

Oddział PCK z braku funduszy zamyka Poradnię dla Chorych.

W Otyunii powstał Związek Obywatelski Pracy Kobiet.

11 XI W rocznicę Odzyskania Niepodległości odbyła się akademie, a następnie „Zeter” odegrał sztukę S. Żeromskiego „Ponad śnieg”. (Podczas przedstawienia panował chaos i zamieszanie).

Samobójcza śmierć lekarza dr. Justyna Gelehrtera.

13 XI Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej urządziło uroczysty wieczór swego patrona św. Stanisława Kostki, podczas którego odegrano „Ucieczkę św. Stanisława”. Była również część wokalnno-muzyczna i żywe obrazy. □

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

Ks. Lesław Jezowski

Wspólny budynek gimnazjum i Urzędu Miejskiego od ulicy oddzielały mały skwerek z kwiatowymi klombami. W lecie umieszczano na klombie figurę siedzącego krasnoludka ku uciechu dzieci.

Na piętrze, nad biurami Urzędu Miejskiego, mieszkał do roku 1934 jego dyrektor, Stanisław Mendrala wraz z żoną Teresą. Nie posiadali dzieci, tylko dwa małe pieski o białej, krótkiej sierści. Jeden z nich wabił się Fobos. Dyrektor uczył języka greckiego, stąd jego zamiłowanie do antycznych imion. Dyrektor był bardzo szczupły, nerwowy, o ostrych rysach twarzy, ciemnych włosach. Okresowo

cierpiał na migrenę i wtedy bywał zupełnie niekomunikatywny. Młodzież za nim nie przepadała, a dyrektor zachowywał wobec niej dystans. Gdy musiał jakiegoś ucznia ukarać, przy strofowaniu nazywał go czasem gnojkiem i tak powstało przezwisko, którym ochrzciła go młodzież. Z powodów zdrowotnych musiał czasami korzystać z nadprogramowych urlopów. Z przekonania politycznych był on endekiem, wyznawcą zasad Narodowej Demokracji. To stronnictwo, opowiadające się za programem politycznym Romana Dmowskiego, było niemile widziane przez ówczesne sanacyjne władze państwowe gloryfikujące Józefa

Piłsudskiego, przeciwnika Dmowskiego, toteż pod jakimś pretekstem dyrektor Mendrala został zwolniony ze swego stanowiska i przeszedł na przedwczesną emeryturę. Za jakiś czas pp. Mendralowie wyprowadzili się z Tłumacza.

Pani Teresa Mendralowa z wyglądu zewnętrznego stanowiła przeciwieństwo swego męża. Niska, korpulentna, pulchna blondynka uczyła w seminarium. Na przechadzki obydwójce Mendralowie chodzili zawsze razem. Obok nich biegały ich psy. Najczęściej odwiedzali rodzinę siostry dyrektora, Hrapkowiczów, przy ul. Słowackiego. Bywali i u nas. P. Mendrala chodził do tego samego gimnazjum co mój Ojciec w Nowym Sączu, chociaż wcześniej od Niego, obydwaj pochodzili z jednego powiatu, obydwaj wyznawali zbieżne poglądy moralne i polityczne. Dyrektor szukał rady i pomocy u Ojca, której On mu nie szczędził.

Po odejściu z gimnazjum p. Mendrali, przez pierwsze półrocze roku szkolnego 1933/34 obowiązki dyrektora pełnił p. Stanisław Dąbek, a w drugim jego obowiązki przejął p. Marian Mierzwiński. Prof. Mierzwiński był dobrym i wymagającym nauczycielem. Potrafił młodzież czegoś nauczyć. W zasadzie miał sobie powierzony język polski, ale uczył również łaciny. Krepej budowy ciała, z jakby trochę graniastą głową i przyszyżonymi na jeża włosami.

Półroczne kierowanie gimnazjum przez p. Mierzwińskiego zakończyło przyjscie we wrześniu 1934 r. do Tłumacza Ksawerego Bułkowskiego. Jako dyrektor miał pozostać na tym stanowisku do września 1939 r. Był starym kawalerem, zupełnie siwym o niepomarszczonej, rumianej twarzy. Uczył języków klasycznych. Nie byłem jego uczniem, czego żałuję, bo pod jego kierownictwem opanowałbym grekę i dokładniej poznał łacinę. Doszedłem do tego wniosku po jednej lekcji łaciny, jaką w zastępstwie prof. Dąbka przeprowadził w naszej klasie. Odpytując nas z gramatyki łacińskiej, nie chciał, abyśmy bezmyślnie odmieniali według przypadków rzeczowniki lub według osób, czasów, liczb – czasowniki, lecz wymagał przetłumaczenia na łacinę lub z łaciny na język polski form gramatycznych., które nam podawał. Np. pytał wywołanych uczniów, co znaczy po łacinie: piszę, pisałeś, napisałeś, jak przetłumaczyć: scripsi, scribebas, scribete? W ten sposób gramatyka stawała się ze sztywnych, abstrakcyjnych formułek doskonałą pomocą w rozumieniu łaciny i posługiwaniu się nią.

Dyrektor Bułkowski był na ogół szanowany i lubiany przez młodzież. Ale w ostatnim przedwojennym roku szkolnym 1938/39 ośmieszyl się wobec niej, zawierając związek małżeński z Zosią Sokołowską, siostrą wymienianej na tych kartach p. Wolańskiej, uczennicą niższej klasy gimnazjalnej, która mogłaby być jego wnuczką. Tłumackie gimnazjum neoklasyczne dokąd liczyło osiem klas, było męskie. Ale po reformie ministra Jędrzejewicza, gdy wyodrębniono cztery klasy gimnazjalne i dwie licealne, stało się koedukacyjne. P. Bułkowski posiadał w Iwaniu Pustym w województwie tarnopolskim, małe gospodarstwo rolne, nadane mu za zasługi podczas I wojny światowej, czy też wojny bolszewicko-polskiej, i w nim, po przejściu na emeryturę, chciał osiąść ze swoją młodą żoną. Wybuch II wojny światowej zniweczył te plany.

Z grona nauczycielskiego gimnazjum chciałbym przypomnieć, zatrzymując się przy jego budynku, tylko tych profesorów, których lokalizacja mieszkań domowych była mi nieznaną. Do nich należy p. Stanisław Dąbek, nauczy-

ciel łaciny i greki. Był w średnim wieku, a jego zachowanie miało wiele znamion starokawalerskich. Mało dbał o swój wygląd zewnętrzny. Miał nieprzyjemny zwyczaj obcinania czasem na lekcji paznokci przy pomocy scyzoryka. Gdy napominania o zachowanie ciszy w klasie nie skutkowały, wchodził między ławki i zaciśniętą pięścią grzmocił po plecach rozgadane go ucznia. Uderzenia te nie były mocne i nikt sobie nic z nich nie robił, wywoływały jedynie salwy śmiechu i uciekanie brykającego chłopca przed niby groźnym profesorem. Wiedzę p. Dąbek posiadał dużą, ale nie umiał jej przekazywać, podobnie jak oddziaływać wychowawczo. Jakby obce mu były zasady dydaktyki i pedagogiki. Toteż nasza znajomość greki i łaciny, odkąd on zaczął nas uczyć tych języków, była nikła. Kto osobiście nie przykładał się do ich nauki w domu, z lekcji p. Dąbka niewiele wyniósł. W roku szkolnym 1937/38 został wychowawcą-opiekunem mojej ósmej klasy i doprowadził ją do matury. Miał więc za szczególne zadanie kształtować nasze charaktery i postępowanie, ale i temu zadaniu zupełnie nie umiał sprostać.

Przyjaźnił się z rodzinami Mierzwińskich i Tuzinkiewiczów, u których – zdaje się – jadał obiady. W Tłumaczu sądzono, że ożeni się z Heleną Tuzinkiewiczówną, siostrą p. Mierzwińskiej, lecz nie doszło do tego.

Jedni nauczyciele gimnazjalni mieli w nim etat, i ci przez szereg kolejnych lat pełnili swe funkcje, inni byli angażowani kontraktowo i odchodzili z Tłumacza po roku lub dwóch latach. Do takich należał np. prof. Vollprecht, nie pamiętam już czego uczący. Zajmował się także polską bursą przy ul. Kolinieckiej. Sam młody, ale nieszczególnie przystojny, miał podobającą się żonę, którą widywało się w towarzystwie pań Gelehrterowej i Jampolerowej. Około połowy lat 30. obydwójce opuścili Tłumacz. Natomiast przybyła do niego p. Dąbkówna, prowadząca lekcje polskiego w klasach niższych. Bardzo miła, pobożna, często bywała na Mszy św. i w dniach powszednich, czym zyskiwała moją szczególną sympatię. Byłem bardzo rad, gdy na jej prośbę mogłem dla niej wyjednać u swojego Ojca bezpłatny paszport na wyjazd do Rzymu w 1937 r. Powróciwszy stamtąd, p. Dąbkówna przywiozła mi kościany rocznic do papieru z umocowanym na nim metalowym medalionem z wizerunkiem św. Piotra Apostoła. Przed samą wojną wyszła za mąż za p. Ładzińskiego.

Bardzo krótko uczył w niższych klasach p. Gocki, ale nie pamiętam, jakiego przedmiotu. Zapamiętałem jednak żakowski wierszyk, jaki chłopcy przyczepili mu: Hocki klocki stawia Gocki. W rzeczywistości p. Gocki wyglądał na nauczyciela z powołania.

Więcej od Gockiego, bo co najmniej przez rok, albo i dłużej, przebywał w Tłumaczu Kazimierz Ziemiański, młody, przystojny blondyn z falującymi włosami, ale i z nieco sztywną szyją, który uczył nas polskiego. Wymagał od nas stale uczenia się wierszy na pamięć i wygłaszania ich później w klasie. Oprócz tego musieliśmy urządzać klasowe konkursy recytatorskie. Opanowywanie wierszy zabierało mnóstwo czasu ze szkodą dla innych przedmiotów, a same wiersze obrzydły nam. Na samym sobie stwierdziłem, że codzienne wkuwanie tekstów zamiast ćwiczyć pamięć, o co zapewne chodziło naszemu nauczycielowi, i wzmacniać ją, raczej ją osłabiało.

Dla młodego, być może z dużego miasta przybyłego nauczyciela, pobyt w pozbawionym rozrywek Tłumaczu

musiał być bardzo nudny, toteż szukał rozrywek w kieliszku. Sięgał po niego w miejscowych restauracjach, zwłaszcza w jednej, przy ulicy Trzeciego Maja, gdzie się prawdopodobnie stołował. Czasem i poza lokalami pozostawał pod tzw. działaniem alkoholu. Dobrym jego kompanem przy restauracyjnym stole bywał inny nauczyciel gimnazjalny, Ehrlich.

Z p. Urmannem mieli do czynienia tylko moi koledzy Żydzi, uczył ich bowiem religii mojżeszowej. Starszy, niski, siwawy, za okularami, przychodził do gimnazjum regularnie na swoje lekcje. Gdzie indziej w mieście prawie się go nie widywało. Chłopcy nazywali go „żydowskim księdzem”.

Przypomina mi się współwyznawczyni Urmanna, p. Planerówna. Wysoka, postawna blondynka. Być może uczyła czegoś w początkowych klasach.

Wspominając dyrektorów i profesorów, nie mogę pominąć dwóch tercjanów gimnazjalnych, Borka i Mostowiaka. Pierwszy z nich, starszy, siwy, w latach trzydziestych przeszedł na emeryturę. Do jego stałych zajęć należało obchodzenie korytarzy i dawanie sygnału dzwonkiem trzymanym w ręce o rozpoczęciu i kończeniu się lekcji. Co jakiś czas przychodził do wszystkich klas z księgą ogłoszeń, z której nauczyciele odczytywali nam pouczenia i zarządzenia dyrektorskie. Zanim do kazujących na przerwach uczniów przywoływał do porządku udawanymi uderzeniami z zapowiedzią, że jeżeli się nie uspokoją, dostaną „po cholewie”, co w języku p. Borka oznaczało – po twarzy. Oczywiście nigdy do tego nie doszło.

P. Mostowiak był najpierw tercjanem w filii gimnazjum, która mieściła się w budynku obok kościoła parafialnego. Później przeniósł się do głównego budynku i w nim zamieszkał wraz z żoną i synem, Stanisławem, moim klasowym kolegą. Albo on sam, albo jego żona pochodzili z Jazłowca i tam zwykle wyjeżdżali podczas świąt. Ze Staszkiem przez kilka lat siedziałem w jednej ławce, a w klasie ósmej wspólnie przygotowaliśmy się z języka polskiego do matury. Dopiero za tercjanostwa Mostowiaka zaprowadzono w gimnazjum dzwonki elektryczne. P. Mostowiak, lekko pochylony, zawsze chodził w butach z cholewami. Trzymał na stacji dwóch i więcej uczniów, mimo że dla swojej rodziny i dla nich miał tylko jeden, nieco obszerniejszy pokój na parterze od strony podwórza. Widocznie rodzice chłopców godzili się na prymitywne i uciążliwe warunki mieszkaniowe w nadziei, że ich gospodarz dzięki znajomościom z profesorami przepchnie synów przez wszystkie klasy aż do matury. Ale nie zawsze się to udawało.

Zanim Mostowiakowie sprowadzili się do budynku gimnazjum, w pokoju, który zajęli mieścił się sklepik uczniowski. Można w nim było kupić przybory szkolne, podręczniki, zwłaszcza używane, podstawowe kosmetyki itp. Sprzedawali starsi koledzy, a opiekunem sklepiku był p. Dąbek, który prowadził też księgowość. On też przy końcu roku szkolnego udziałowcom wręczał dywidendę. Nie wiem, z jakiego powodu sklepik ten przestał istnieć.

Przed pokojem Mostowiaków znajdował się inny pokój, nie zamieszkiwany stale, w którym prowadzono z ramienia Komitetu Rodzicielskiego akcję dożywiania. Można było tam otrzymać bezpłatnie i odpłatnie mleko, kakao, kawę i pieczywo z masłem.

Nie przypominam sobie dokładnie, ile w całym budynku mieściło się sal lekcyjnych, ale wiele ich nie było. Oprócz nich korzystaliśmy z gabinetu przyrodniczo-fizycznego na piętrze od strony podwórza, a nauczyciele mieli tu salę konferencyjną, dyrektor zaś własny gabinet i pokój sekretarki. W klasie narożnej, na piętrze, w soboty zamiast ostatniej lekcji, ks. Witkowski wygłaszał do nas egzortę. Zastępowała ona kazanie i była przygotowaniem do należytego przeżycia liturgii niedzielnej.

W budynku gimnazjum znajdowały się dwie klatki schodowe oraz schody zewnętrzne od strony podwórza gminnego, którymi wchodziło się do gabinetu przyrodniczego. Na piętrze był obszerny drewniany balkon wysunięty w stronę parku.

Ten park rozciągał się bezpośrednio przy gimnazjum i korzystaliśmy z niego podczas przerw. Rosły w nim przeważnie drzewa liściaste. Naprzeciw budynku, już w parku, widniał duży, okrągły klomb kwiatowy, a w jego środku stała biała figura Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręce. Przy niej odbywały się czasem okolicznościowe nabożeństwa poprzedzone procesją z kościoła. Figurę otaczały żarówki oświetlające ją po zapadnięciu zmroku. Przed klombem działał niewielki wodotrysk w murowanym basenie. Tłumacki park był rozległy, poprzecinany alejami i szerokimi ścieżkami. Jedna z nich prowadziła od bramy wejściowej przy ulicy Trzeciego Maja przez cały park do ul. Kolinieckiej w pobliże dawnej gorzelni i korzystali z niej wszyscy, którzy nie chcieli iść tutaj okrężną drogą przez rynek. Najbardziej popularna była tzw. ciemna aleja tworząca nie zamknięty od strony wschodniej prostokąt. Wielkie, stare drzewa utrzymywały w niej stale cień. W gorące dni można było chronić się tam przed upałem. Ciemna aleja, a raczej aleje, bo właściwie były ich trzy, zapełniały się najliczniej w majowe wieczory, po nabożeństwie w kościele. Ale atakujące komary nie pozwalały na dłuższe siedzenie na ławkach. Za krótszym odcinkiem potrójnej alei mieszkał wraz ze swoją rodziną ogrodnik miejski, p. Starzycki.

Przy końcu parku, od strony cerkwi rozciągało się boisko. Przed I wojną światową był tam staw z wysepką pośrodku. Na boisku odbywały się rozmaite imprezy sportowe, pokazy, a poza okresem niesprzyjającym pogodowo nasze ćwiczenia gimnastyczne, gry w palanta, siatkówkę, kwadrat itp. Z boiska korzystaliśmy również podczas zajęć Przynależności Wojskowej, a także ze strzelnicy urządzonej na skraju boiska. Po przeciwnej od strzelnicy stronie boiska wznosił się kopiec, nie wiem, z jakiej okazji usypany, z którego zimą można było zjeżdżać na sankach. Osobliwość parku stanowiły dwie, zdaje się, ziemne piwnice, które z zewnątrz wyglądały jak pagórki porośnięte drzewami, a wewnątrz kryły chłodne pomieszczenia, w których można było przechowywać nawet lód. Nie zainteresowałem się, do kogo należały. Od czasu do czasu różne organizacje urządzały w parku festyny połączone z loterią fantową. Bufet bywał wtedy dobrze zaopatrzony przez tłumackie panie, a festynowym gościom nieodmiennie przygrywała gimnazjalna orkiestra dęta. Do tradycyjnych zwyczajów tłumaczan należała przechadzka w parku po niedzielnych i świątecznych Mszach św. w kościele. Park należał dawniej do tłumackich właścicieli ziemskich. Być może poprzednik Dolaisów, Jahn, odstąpił go miastu.

(c.d.n.)

Dzieje Gimnazjum w Tłumaczu

Michał Nikosiewicz

Mieszkańcom Tłumacza bardzo dawał się odczuwać brak średniej szkoły. Wskutek zabiegów JWP Stefana barona Mojsy Rosochackiego, posła do Rady Państwa, Leopolda Popiela, radcy dworu (ówczesnego starosty) i dr. Antoniego Howurki, lekarza i burmistrza miasta Tłumacza, nadto dzięki życzliwemu poparciu władz krajowych, a w szczególności c.k. Rady Szkolnej Krajowej i jej wiceprezydenta JWP Dr. Ignacego Dembowskiego, Rząd zgodził się na założenie gimnazjum w Tłumaczu. Gorącym życzeniom mieszkańców miasta Tłumacza stało się zadość, gdy Najwyższym Postanowieniem z dnia 5 IX 1910 roku zostało utworzone z początkiem roku szkolnego 1910/1911 państwowe gimnazjum z polskim językiem wykładowym w Tłumaczu. (I Sprawozdanie Dyr. c.k. gimn. za r. 1917/18).

Gazeta Lwowska Nr 207 z dn. 13 IX 1910 podaje w kronice prowincjonalnej: „Wpisy uczniów do Gimnazjum polskiego w Tłumaczu odbędą się w dniu 16 bm. od godz. 8 rano do 6 wieczorem.”

W roku 1910 starostą w Tłumaczu był już Edmund Rola Stanisławski, kawaler orderu Fr. Józefa, honorowy obywatel m. Kosowa. Popiel Leopold, były starosta (1905-1910), honorowy obywatel Tłumacza, Ottynii i Tyśmienicy był już wówczas przydzielony do służby w Namiestnictwie we Lwowie, jako radca Nam. W dzienniku urzędowym c.k. Rady Szkolnej Krajowej w Galicji, w nr. 26 z dnia 24 IX 1910 r. ogłoszono: „Jego Ces. i Król. Apostolska Mość Najwyższym postanowieniem z dnia 5 IX 1910 raczył najmiłościwiej zezwolić na założenie z początkiem roku szkolnego 1910/1911 państwowego gimnazjum z polskim językiem wykładowym w Tłumaczu.” ... taki to był styl i język urzędowy w owym czasie...

Na podstawie ugody między Rządem z Radą gminną miasto Tłumacz odstąpiło budynek jednopiętrowy, znajdujący się w 19-morgowym parku na pomieszczenia gimnazjum. Dnia 25 września 1910 r. odbyły się wpisy do gimnazjum: zapisało się 85 uczniów. Dnia 15 października 1910 r. odbyło się uroczyste otwarcie zakładu, na które przybyli JWP poseł baron Mojse Rosochacki i JWP Antoni Zoll, radca rządu (podówczas starosta) w zastępstwie JWP Ignacego Dembowskiego wiceprezydenta c.k. Rady Szkolnej Krajowej (spraw. z r. 1917/18). Zachowało się oryginalne zaproszenie na tę uroczystość. Cytuję: „Rada Miejska w Tłumaczu zaprasza Wielmożnego Pana Karola Krausa..... do wzięcia udziału w uroczystym otwarciu c.k. gimnazjum dnia 15 października 1910 r. o godz. 10.30 przed południem. Uroczysty akt otwarcia poprzedzają o godz. 8.30 rano rozpoczynające się nabożeństwa w wszystkich miejscowych świątyniach. Rada Miejska. Niniejsze zaproszenie służy okazielowi jako legitymacja.”

Dr med. Mieczysław Piotrowicz tak opisuje sprawę założenia gimnazjum... „...przypominam sobie z opowiadań rodziców, że w roku 1907 miały się odbyć w całej Austrii wybory do parlamentu austr., a więc i w Tłumaczu. Kandydatem na posła do parlamentu był ziemianin Mojse Rosochacki. Wszyscy wiedzieli, że ażeby uzyskać większość musi nawiązać kontakt z mieszczanami. Na jednym z wieców przedwyborczych stanęła umowa między kandydatem na posła a wyborcami: poprą jego kandydaturę w głosowa-

niu na posła pod warunkiem wyjednania u władz centr. utworzenia w Tłumaczu gimnazjum państwowego. Mojse Rosochacki został wybrany na posła do parlamentu w Wiedniu i wyjednał u władz utworzenie gimnazjum...”

Znacznie obszerniej opisał to wydarzenie mgr Włodzimierz Klimkiewicz: „Wspomnienia z czasów gimnazjalnych, część I, geneza gimnazjum tłumackiego (1906-1910) ... do roku 1910, młodzież z domów zamożniejszych kształciła się w Stanisławowie lub w innych większych miastach Galicji. Koszty utrzymania były znaczne. Niezamożni rodzice mogli tylko śnić o kształceniu dzieci, lecz marzeń nie byli w stanie urzeczywistnić.

W księdze pamiątkowej jubileuszu gimnazjum Fr. Józefa I we Lwowie, 1858-1908 w spisie byłych uczniów tego gimnazjum są i mieszkańcy powiatu tłumackiego. Zapewne i w innych miastach pewna nieliczna grupa młodzieży z pow. tłumackiego uczęszczała do gimnazjum (np. syn dr. Howorki w Wiedniu).

Włodzimierz Klimkiewicz pisze: „...kreowanie gimnazjum polskiego w środowisku z ukraińską większością etniczną już wówczas było trudne do przeprowadzenia... dla zjednięcia Ukraińców i przywiązania ich do tronu Habsburgów poczęto im czynić różne ustępstwa, kosztem polskiego stanu posiadania w Galicji Wschod.

W Tłumaczu ukonstytuował się komitet obywatelski złożony z co zaniejszych mieszkańców miasta, głównie inteligencji i mieszczaństwa. Do komitetu weszli dr Antoni Howorka, lekarz miejski i burmistrz, ks. Ferdynand Majewski, proboszcz parafii rz.kat., Władysław Dolais, notariusz i właściciel Tłumacza, Karol Sokołowski, dzierżawca majątku ziemskiego, Zygmunt Bloch, nauczyciel szkoły im. Barona Hirscha, Antoni Piotrowicz, właściciel sklepu rzeźniczego i inni. Komitet opracował petycję do Ministerstwa Oświaty we Wiedniu i złożył na ręce starosty, który ustosunkował się życzliwie do tej prośby i przesłał ją do Rady Szkolnej Krajowej (1906-7), ale przesłana dalej do Wiednia utonęła w stosie papierów. Okazało się, że posłowie ukraińscy dowiedziawszy się o staraniach podjętych przez Polaków i Żydów, wysunęli kontrprojekt: założenie w Tłumaczu gimnazjum ukraińskiego, a przynajmniej utrakwistycznego (2-język). Polski komitet zwrócił się o pomoc do posłów polskich w parlamencie wiedeńskim. W r. 1907 rozpisano w Austrii wybory do parlamentu. Kandydaturę na posła z okręgu tłumackiego zgłosił ziemianin Stefan baron Mojse Rosochacki, zbliżony politycznie do kół konserwatywnych. Komitet nawiązał z nim rozmowy obiecując poparcie Polaków i Żydów w wyborach, zobowiązując tym do poparcia sprawy gimnazjum we Wiedniu. Minął rok 1908, termin otwarcia przesunięto z powodu braku funduszy w budżecie państwowym. W roku 1909 nie doszło też do otwarcia szkoły. Nastąpiło to dopiero we wrześniu 1910 r.

W mieście zapanowała radość... Miało się ku końcowi sierpnia 1910 roku kiedy do Tłumacza przybyli pociągiem jacyś nieznajomi dwaj panowie, postawni, elegancko ubrani, jeden w starszawym wieku, drugi znacznie młodszy, swym wyglądem zwrócili powszechną uwagę publiczności zebranej na dworcu kolejowym. Przybyłych powitał jakiś nieznaną jegomość w kusym tużurku. Po krótkiej wymianie słów ruszyli razem do miasta. Niebawem obiegła Tłumacz wiado-

mość o przyjeździe dyrektora Wojciecha Grzegorzewicza i suplenta gimnazjalnego Władysława Cichockiego. Trzecim był tercjan – importowany ze Lwowa. Kiedy sprawa się wyjaśniła, ktoś dowcipny powiedział: „tres faciunt collegium – rok szkolny może się zacząć...” Dyrektor Grzegorzewicz po złożeniu wizyt staroście i burmistrzowi objął część budynku w parku oddaną gimnazjum przez gminę. Tercjan wywiesił na drzwiach gimnazjum ogłoszenie o otwarciu i egzaminie wstępnym, a policjant miejski Paweł Koszałka obwieścił tę wiadomość – bębniąc na Rynku. Egzamin wstępny nie był trudny, komisja tylko 2 uznała za nie nadających się do gimnazjum, a trzech stchórzyło...

Dyrekcja wydzieliła dwa oddziały I klasy, „a” i „b”, w klasie I „a” usadowiono „śmietankę” społeczną, w klasie I „b” znalazła się „maślanka i serwatka”. Taki porządek rzeczy odpowiadał

ówczesnym stosunkom i strukturze społecznej. Najwięcej było Polaków, mniej Żydów, a Ukraińców zaledwie kilkunastu. Przeważała młodzież z domów inteligentkich i mieszczkańskich, było zaledwie kilku synów włościan, z robotniczej sfery nikt się nie zapisał. (c.d.n.)



Tłumacz – gimnazjum i jego uczniowie

Ze wspomnień hospitantki

Maria Molisak-Ossowska

Data 15 października 1910 r. szczególnie utkwiła mi w pamięci. Już na wiele dni przedtem prawie wszystkie rozmowy w Tłumaczu obracały się wokół jednego tematu, a mianowicie – otwarcia gimnazjum w mieście.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele i cerkwi, po czym zaproszeni goście udali się do budynku szkolnego mieszczącego się w parku. Jako dziesięcioletnia dziewczynka, razem ze swoją Matką, uczestniczyłam w tej uroczystości. Stałyśmy wraz z innymi pod ścianą. Najpierw na sali pojawiali się dygnitarze w c.k. uniformach z wyzłocnymi kołnierzami i zajęli miejsca za stołem przydzielonym.

Po chwili, czwórkami weszli uczniowie, wszyscy w granatowych mundurkach z jednym srebrnym paskiem na kołnierzu. Na czapkach mieli srebrną literę „G”. Oczywiście były przemówienia władz oraz jednego z uczniów i odśpiewano jakąś pieśń, przypuszczalnie hymn austriacki „Boże wspieraj...”

Na tym uroczystość, tak przez wszystkich oczekiwana, skończyła się, a rozpoczęła się nauka w C.K. Męskim Gimnazjum Klasycznym. Szkoła była wprawdzie męska, ale na 32 uczniów można było przyjąć 2 uczennice jako tzw. hospitantki. Pierwszymi hospitantkami w roku szkolnym 1910/11 były:

- w klasie I „a” – Janina Sokołowska (Dulębina) i Józefina Tuzinkiewiczówna (Kochańska)
- w klasie I „b” – Stefania Boniowska i Antonina Macalska.

Do gimnazjum zostałam przyjęta w następnym roku szkolnym, tj. 1911/12. I w tym roku również były dwa oddziały, a w nich po dwie hospitantki:

- w klasie I „a” – Zofia Czyżowska i ja – Maria Molisakówna (Ossowska)
- w klasie I „b” – Zofia Teyerłówna (Sokołowska) oraz Paulina Letzówna.

Do gimnazjum przyjmowano uczniów po ukończeniu czwartej klasy szkoły powszechnej, a nauka trwała w nim 8 lat. Aby wejść w mury gimnazjalne, trzeba było przebrnąć przez egzamin wstępny. Trema u wszystkich była wielka, ale egzamin okazał się wcale nietrudny. Z języka polskiego było dyktando i rozbiór łatwego zdania, a z języka niemieckiego prof. Cichocki podyktował urywek z czytanki, który należało przetłumaczyć – pamiętam do dziś, że tekst zaczynał się od zdania: „Ein Araber hatte einmal eine Guelle gesucht”. Ten sam tekst profesor dyktował na egzaminie w poprzednim roku.

Jako hospitantki uczęszczałyśmy na wszystkie lekcje, ale profesorowie nie mieli obowiązku nas odpytywać. Niektórzy od czasu do czasu zadawali nam pytania nie wymagające dłuższych odpowiedzi, ale ocen nie stawiali. Dwa razy do roku, tj. na półroczu i z końcem roku szkolnego musiałyśmy zdawać egzamin z przerobionego materiału.

Jak już wspominałam, gimnazjum było klasyczne, więc właściwie najważniejszym przedmiotem była łacina. W tygodniowym rozkładzie zajęć aż 6 godzin przeznaczono na

nauczanie tego języka. Od klasy III, pięć godzin poświęcono grece. Najwięcej więc ocen niedostatecznych sypało się z tych przedmiotów i najwięcej było z nich poprawek.

A profesorowie? – obraz niektórych z nich mam dotychczas przed oczami. Dyrektor Grzegorzewski – łacinnik – poważny, dostojny pan o spokojnym przyciszonym głosie. Wspomniany germanista, prof. Cichocki, bardzo przystojny, według obowiązującego wówczas kanonu, ale mocno zarozumiały. Z polonistów pamiętam profesora Czerwińskiego i Michała Waligórę. Doktor Gawlik, który uczył historii i geografii, przez całą lekcję założywszy ręce pod surdut, chodził dość szybkim krokiem przed ławkami od okna do ściany i z powrotem, równocześnie wykładając i odpytując. Drugi germanista – prof. Silberschlag wszedłszy do klasy siadał za katedrą i potrafił całą godzinę czyścić i polerować szczyrzykiem paznokcie. Władysław Budzianowski – przyrodnik – lubiany był przez uczniów, ale impetyk, po każdej niefortunnej odpowiedzi sypał pod adresem nieszczęśnika bardzo wymyślne epitety. Jan Leśniak nauczał greki i był równocześnie opiekunem męskiej drużyny harcerskiej.

Godzin wychowawczych nie było, jedynie rozprawdzano odpłatnie wśród uczniów książeczki z poradami, jak należy się zachowywać w rozmaitych sytuacjach i czego nie należy czynić. Wszelkie wykroczenia karane były karcerem od 4 do 16 godzin, zależnie od przewinienia. Oczywiście karcer 16-godzinny rozłożony był na raty. W sobotę tercjan wchodził do każdej klasy z książką rozporządzeń i we wszystkich klasach odczytywano nazwiska winowajców oraz

wyznaczoną ilość godzin karceru. W niedzielę po nabożeństwie „skazańcy” szli do szkoły z zeszytem, w którym mieli przepisać zadane przez nauczyciela teksty. Wchodzili do klasy, a tercjan zamykał drzwi na klucz i odchodził – zjawiał się dopiero po kilku godzinach, by winowajców wypuścić na wolność.

W czerwcu 1914 r. otrzymaliśmy świadectwa, a w sierpniu wybuchła pierwsza wojna światowa.

Do gimnazjum wróciłam z wychodźstwa (z Czech) dopiero w roku szkolnym 1918/19 do klasy VII. Moi dawni koledzy byli już w klasie VIII, gdyż przerobili wcześniej program dwóch klas w jednym roku. Z dawnego grona nauczycielskiego pozostał tylko polonista – prof. Waligóra. Nowym dyrektorem był Henryk Krzyżanowski, który uczył języka greckiego. Łaciny uczył teraz prof. St. Mendrala, a języka niemieckiego – M. Rosenbau.

W listopadzie 1918 r. „nastała” Ukraina, więc do szkoły uczęszczaliśmy tylko do końca I półroczka.

Rok szkolny 1919/20, już w niepodległej Polsce, rozpoczął się w dniu 1 października. I znowu zaszły zmiany w gronie nauczycielskim. Historię np. w naszej VIII klasie objął prof. Marian Mierzwiński. Ponieważ stanowiska nauczycieli matematyki i fizyki nie były obsadzone, przeto musieliśmy się ratować prywatnymi lekcjami z tych przedmiotów. Mnie uczył kolega Nuchim Schlosser, świetny matematyk i wielki talent pedagogiczny.

I tak w czerwcu 1920 r., po zdaniu matury, rozstałam się z moim gimnazjum, w którym pobyt zawsze serdecznie wspominam. □

Henryk Wilczewski

Orkiestra gimnazjalna



*Każdy z nas pewnie jeszcze pamięta
jak to tłumacka orkiestra dęta,
ta gimnazjalna, ta młodzieżowa,
Gdy pan Misiecki uniósł batutę
już zaczynają na zgodną nutę.*

*Różne melodie, czasem ludowe,
Ale przeważnie marsze wojskowe.
Gdy brzmi ludowa melodia ckliwa –
trąbką zawodzi kolega Skliwa.,
Gdy tak przygrywa sobie i muzom*

zaraz się włącza Siudaka puzon.
 Potem kolejno: trąbka lub dwie,
 to Tuzinkiewicz w instrument dmie.
 Gdy tylko skończy takt jeden, dwa
 włącza się fagot – Piotrowicz gra.
 potem kolejno zagrają flety,
 oboje, rogi oraz klarnety.
 Melodia płynie na swojską nutę,
 aż każdy chciałby przytupnąć butem.
 Lecz to nie wszystko, co zespół gra,
 co on potrafi, co dobrze zna.
 Ich popisowy numer paradny –
 to „Marsz Gwiazdzisty” – naprawdę ładny.
 W oknach gimnazjum szyby aż drżą,
 brzmią wszystkie trąbki melodię tą.
 Fagoty, flety, puzony, rogi,
 a bęben trzyma takt lewej nogi.
 Ktoś by pomyślał – gra cały świat
 tak pięknie dźwięczy ten marsz sprzed lat.
 A chłopcy grają, z potem na czole
 i każdy z nich jest w swoim żywiole.

I choć minęło już tyle lat
 i tak zupełnie zmienił się świat,
 gdy myślę wracam do naszych stron
 to w uszach wciąż brzmi – jedynie on.
 Ten nasz tłumacki, ten nasz jedyny
 ten „Marsz Gwiazdzisty”, od wszystkich inny.
 Bez tego marsza, jak dziś pamiętam
 nie było nigdy żadnego święta.
 Nie wiem jak inni? Ja mam marzenie,
 by „Marsz Gwiazdzisty” – (drugie wcielenie)
 stał się natychmiast, zaraz – zaznaczam,
 marszem nas wszystkich, marszem Tłumaczan.

Refleksja

A stąd wynika refleksja taka,
 że choć nie było orkiestr Pawlaka,
 Remiz strażackich z wódki wyszynkiem,
 gdzie się możemy uraczyć „drinkiem”
 Tych wszystkich dziwnych i śmiesznych parad,
 OSP zjazdów i różnych narad
 Można powiedzieć zupełnie śmiało,
 gdy ich nie było to „wszystko grało”.

Przedszkole w Tłumaczu

Wspomnienia

Czesława Mandyna-Kramarz

Tłumacz – moje kochane i niezapomniane miasto, gdzie się urodziłam i przeżyłam 11 lat. Zawierucha wojenna i zagrożenie aresztowania Tatusia przez NKWD zmusiło rodziców do wyjazdu. Nic nie jest w stanie wpłynąć na moją pamięć o tamtych, jakże pięknych i bogatych we wspomnienia latach. Mimo upływu czasu, a minęło już ponad 60 lat, w pamięci utkwiły mi zdarzenia z okresu wczesnego dzieciństwa. Moja kochana rodzina stwarzała wspaniałe warunki dla pełnego energii (może w nadmiarze) dziecka. Mamusia nie pracowała zawodowo i poświęcała mi wiele czasu, ale mnie pociągało towarzysstwo. Ukradkiem biegłam do Tatusia, który pracował w Powiatowym Zarządzie Drogowym, mieszczącym się przy ul. Słowackiego, bardzo niedaleko od naszego domu. Tam mogłam pohuścić się z Tadzkiem Pielaszem na huśtawce, a jak go nie było wpadałam do biura, bo znałam wszystkich urzędników.

Zapadła więc decyzja, że jedynym dobrym sposobem jest posłanie Mancia do przedszkola. Był rok chyba 1935. Większość koleżanek i kolegów spotkanych w przedszkolu pamiętam do dzisiaj. Mam nadzieję, że koleżanki pamiętają mnie też, a to z tej przyczyny, że regularnie po wejściu do sali zrywałam im kokardy z głowy. Ich interwencje u siostry Serafiny i siostry chyba Joanny (dokładnie nie pamiętam) kończyły się obietnicą zawiązania im kokardy przed opuszczeniem przedszkola. Zawiązana przez mamusię kokarda na mojej głowie, lądowała w rynnie. Czas spędzony z rówieśnikami był bardzo

urozmaicony różnymi zabawami, rysowaniem, lepieniem z plasteliny itd. W lecie bawiliśmy się w ogródku ogrodzonym siatką i pełnym zieleni. Tam można było spotkać panienki, które mieszkały w internacie, i z którymi nawiązywało się znajomości. Urządzane były tzw. kinderbale. Jeden utkwiał mi szczególnie w pamięci. Występowałam jako pomarańcza – ubrana w strój z pomarańczowej gufrowanej (tak się wtedy nazywała) bibułki i śpiewałam następującą piosenkę:

*Jestem sobie pomarańcza
 Lubię chodzić tam, gdzie tańczą
 wewnątrz jestem słodziusiańka,
 a na zewnątrz złociusiańka.*

Występował też Tadzik Sielasz, jako cukierek. Ubrany był też w strój z bibułki. W pewnym momencie spadły mu bibułkowe spodenki, co sala przyjęła wybuchem śmiechu.

Nie pamiętam, przy jakiej okazji Nusia Tomyn deklamowała następujący wierszyk:

*Pucu, pucu, chlastu, chlastu
 nie mam rączek jedenastu,
 ale dwie mam rączki małe
 lecz do prania doskonałe.
 Umieję w cebrzyk wody nalać
 umiem wyprać no i zwałać,
 a u pani, jakże dziatki,
 czy też brudzą swe manatki?*

Był jeszcze dalszy ciąg, więc może recytatorka od-
tworzy w swej pamięci i napisze.

Któregoś dnia zawitał do przedszkola ksiądz pro-
boszcz Edward Tabaczkowski. Siostra Serafina wie-
działa, że umiem parę wierszyków, poleciła mi zadekla-
mować jeden z nich, pod tytułem „Śpiąca Janina”.

*Już się Janina dzionek cały
nabawiła, naskakała.
Oczka kleją się już Jani
już jest senna Jania mała.
Więc na rączki do mamusi
idzie chętnie, główkę skłania
spać nie wolno, bo wpiery musi
zmówić pacierz mała Jania.
Toć to nawet i ptaszęta
Bozi nucą pieśń przed nocą
Bozia o nich też pamięta
broni ptaszki przed przemocą
Usną ptaszki pośród gniazdka
żaden wróg na nie nie spadnie
I spać będą cicho, ładnie
przyświecać im będzie gwiazdka.
A więc sen z swych oczek zgania
i paciorek ze swą mamą
Mówi wolno mała Jania
bo nie chce być w nocy sama
Chce by Anioł Stróż od Bozi
stał tuż, tuż koło łóżeczka
Niech jej w nocy nic nie grozi,
by dobrze spała Janeczka.*

Oczywiście wierszyk powiedziałam, a ksiądz ka-
nonik powiedział do mnie „Cesiu, powiedz jeszcze
raz, bo nicuważnie słuchałem”, a ja na to: „czy ksiądz
mówi dwa razy kazanie?” Siostry zaniemówiły, a
ksiądz zaśmiał się i rzekł – masz rację, powinienem
był słuchać uważnie, ja też kazania dwa razy nie
mówię. Siostrzyczki nie skarciły mnie za tę wypo-
wiedź.

Z tego spotkania mam to zdjęcie, które upamiętnia
nasze kochane przedszkole. Nie pamiętam wszystkich
nazwisk koleżanek i kolegów, ale jestem przekonana,
że siebie poznają i napiszą do nas.

Nasze wspaniałe siostrzyczki organizowały nam
uroczyste spotkania ze Świętym Mikołajem, który ob-
darowywał nas podarkami. Jak już wcześniej wspo-
mniałam, znałyśmy panienki mieszkające w interna-
cie, ale tylko z imienia. Jedna z nich była przebrana
za św. Mikołaja i wręczała dzieciom paczuszki, wcze-
śniej przygotowane przez naszych rodziców. Gdy
miałam podejść wezwana po odbiór podarku, powie-
działam: „To nie jest św. Mikołaj, to jest panna Irka”.
Rodzice szybciotko wyprowadzili mnie z sali, żebym
więcej nie rozrabiała.

Gdy wracam myślami do tych lat, trudno po-
wstrzymać się od wzruszeń. To nie była przechowal-
nia dla dzieci, ale miejsce, gdzie uczyło się wspólnej
zabawy i wychowywano nas. Serce dziecka odczuwa-
ło czułość naszych siostrzyczek i chodzenie do przed-
szkole sprawiało wielką przyjemność. Dlatego mimo
upływu czasu wracam myślami do tamtych beztro-
skich lat. □



Od lewej: Siostra Serafina, Dzidek Seidler, ks. E. Tabaczkowski, Dudo Tomyn, siostra Joanita? stojących obok
księdza imion i nazwisk nie pamiętam

Siedzą: Dusia Grenadier, Lala Żurawska, Wanda Glaiz, Krysia Matejko, Czesia Mandyna (z lalką), Nusia To-
myn, Irka Zasławska, Szkwarek?, klęczą: Tadzik Grenadier,

leży: ?, siedzą: ?, Irki Zasławskiej siostra, Łohazówna, Tadzik Pielasz.

Tłumacz w latach 1939-1945

Krwawe żniwo wojny

Na podstawie zapisków p. Klementyny Bilińskiej opracowała Krystyna Ossowska-Korta

Była połowa kwietnia 1944 r. Od przeszło dwóch tygodni Tłumacz znajdował się w ręku Rosjan. Jednak front, który zatrzymał się niedaleko Tłumacza, groźnymi pomrukami działań dawał znać o sobie.

W mieście, w domach przy ulicy Sobieskiego (ulica prowadziła w kierunku młyna Spitzbacha) rozlokował się szpital wojskowy wraz z personelem.

Pomimo bliskości frontu, w samym miasteczku panował względny spokój. Tylko zawsze o jednej i tej samej południowej porze przelatywał nad nim niemiecki samolot zwiadowczy, tzw. „rama”. Ale nikt specjalnie nie zwracał na to uwagi, milczały również działa przeciwlotnicze.

16 kwietnia na dworze panowała wiosenna pogoda i nie nie zapowiadało zbliżającego się nieszczęścia.

W tym dniu – pisze w swoich wspomnieniach p. Klementyna Bilińska – poszłam na strych po suszącą się tam bieliznę. Przez okienko zobaczyłam idących ulicą (Sobieskiego – przyp. red.) i z ożywieniem rozprawiających trzech młodzieńców: Tosia Petrusa, Tadzika Jarosławskiego i Tadeusza Śliwińskiego. W tej samej chwili usłyszałam znany warkot samolotu, po czym rozległ się straszny huk i podmuch powietrza powalił mnie na kolana. Wokół zrobiło się ciemno.

Po chwili, gdy uniosłam się z kolan, spostrzegłam że dach nade mną jest częściowo zerwany.

Na wpół przytomna ze strachu o najbliższych zsunęłam się po ścianie do mieszkania i zaczęłam przeraźliwie wołać męża i dzieci. Jak się potem okazało, nikt z nich nie doznał krzywdy, znajdowali się bowiem w bezpiecznym miejscu. Jednocześnie usiłowałam wydostać się na zewnątrz, pokonując przeszkody, jakie stanowiły powyrywane z futrynami okna i rozwalona ściana.

Po wydostaniu się na dwór najpierw zobaczyłam, że mój przydomowy ogródek jest całkowicie zryty pociskami, a następnie, ku swojemu przerażeniu, spostrzegłam, że jeden z trzech młodych ludzi, których przed chwilą obserwowałam, leży nieruchomo na ziemi, a dwaj pozostali broczą krwią. Leżącym był nasz sąsiad Tosiek Petrus.

Jak się okazało, lecąca „rama” zrzuciła trzy bomby i odłamek ugodził Tosia w samo serce, zabijając go na miej-

scu. Pozostali dwaj chłopcy, Tadeusz Jarosławski i Tadeusz Śliwiński też zostali ciężko ranni.

Pomimo pomocy udzielonej im przez rosyjskich lekarzy, T. Jarosławski zmarł wkrótce. Co się stało z T. Śliwińskim, nie wiem.

Z sąsiednich domów rozlegały się jęki i szlochania. Ranna została wówczas również córeczka pp. Lipskich oraz Nunia Petrusowa. Wśród personelu medycznego też byli poszkodowani.

„Skurecz ścisnął mi serce – pisze w zakończeniu p. K. Bilińska – błędny wzrok utkwiałam w niebiosach, modląc się – Panie skróć te ludzkie cierpienia. O tym krwawym żniwie wojny do dziś nie mogę zapomnieć”.

W dwa dni później, 18 kwietnia, w wyniku kontrofensywy, wojska niemieckie zajęły Tłumacz, w którym przebywały jeszcze przez 3 miesiące. Dopiero 25 lipca 1944 r. do miasta ponownie weszli Sowieci.

Z relacji Janiny Petrus-Duszyńskiej o tym strasliwym wydarzeniu w Tłumaczu pod koniec wojny.

Tragedia naszych chłopców miała miejsce w kwietniu (przed ruskimi świętami Wielkanocnymi). W czasie nagłego bombardowania zginął na miejscu Tosiu Petrus, a rannych Tadeusza Jarosławskiego i Tadeusza Śliwińskiego zabrano do ruskiego wojskowego szpitala w domu p. Gubrynowicz. Na drugi dzień rano Ruskich już w mieście nie było. Koledzy nieżyjącego już Tadzika Jarosławskiego wynieśli na ulicę, czekając na furmankę, żeby odwieźć go do matki do domu. Wtedy zobaczyłam Tadzika, jak spokojnie leżał bez koszuli, a na lewej piersi miał mały 3 cm opatrunek. Nie czekałam już na przyjazd furmanki, tylko strasliwie szlochając uciekłam do domu.

Ten trzeci, Tadeusz Śliwiński, podobno był ranny w rękę.

Nikt z Tłumaczan nie wie, co właściwie z nim się stało. Jedni twierdzili, że Rosjanie wycofując się zabrali go razem ze swoimi rannymi. Druga wersja, że zmarł przed Jarosławskim i w nocy Rosjanie grzebali swoich zmarłych i pochowali jego w ogrodzie młyna Spitzbacha.

Może jednak przeżył ten strasliwy okres i odezwał się do kogoś z tłumaczan. Prosimy o wiadomość (przyp. red.).

Śmierć bociana

Czesława Koczwara-Kałuża

W połowie kwietnia 1944 r. zaistniała groźba kontrataku niemieckiego na pozycje sowieckie w Tłumaczu. W związku z tym tzw. „dziesiątnicy” zaczęli namawiać, a nawet zmuszać ludność tłumacką do opuszczenia miasta. Część mieszkańców opuściła miasto. Jedni udali się w kierunku Pilawszczyzny, a ja z Mamą i bratem wraz z grupką tłumaczan uciekaliśmy w kierunku Koliniec.

Jeszcze nie słychać było wybuchów bomb, jeszcze nie „grały katusze”, toteż cała nasza, może 20-osobowa, gromadka posuwała się środkiem szosy, wcale się nie śpiesząc. Miałam wtedy 12 lat. Oprócz mnie było kilkoro innych dzieci. Tuż przy mnie szła młoda kobieta króciotko po połogu, niosąc kwilące zawiniątko. Była to dosłownie krwawa droga tej kobiety. Wiem na pewno, że była ona tłumaczanką i mieszkała blisko kościoła.

Była bardzo wczesna pora dnia, a na dworze panowała wczesna wiosna. Nagle na wiosennym niebie pojawiły się samoloty. Nie wiadomo skąd zaterkotał karabin maszynowy.

Zrobiło się piekło. Wpadliśmy w jakiś obejście i przez otwartą furtkę na łąkę. Po łące sunęły niemieckie czołgi. Miotani szaleńczym strachem biegliliśmy w jakimś dzikim pędzie przed siebie, a czołgi, jak ogromne żuki sunęły wprost na nas. Terkot karabinów maszynowych przygiął miotające się figurki ludzkie do ziemi.

Jak oszalała zbiegłam nad płynący w pobliżu potok i uczepliłam się wierzby. Huknęło, błysnęło i moja wierzba wraz z ogromną bryłą błota zakotłowała się w wodzie. Ktoś przytomny wyciągnął mnie na brzeg.

I znowu zaczęliśmy się kotłować na małej błotnistej łączce: my, jakieś psy i bociek. A czołgi sunęły, od czasu do czasu wypluwając z paszczy ogień.

Poczułam, że wpadam do małego okopu. Na mnie upadł brat, Mama i jakaś kobieta. Zrobiło mi się słabo, zachłysnęłam się cuchnącym błotem. Nagle usłyszałam chrobot gąsienic i ogromny czołg przewalił się przez nasz okop. Gdzieś w dali słychać było huk i trzask. Już ktoś nas wyciągał, już Mama ocierała mi twarz z błota. Nagle zaczęłam głośno szlochać, płakałam nie ze strachu, płakałam z żalu, gdyż przed sobą zobaczyłam leżącego na ziemi z rozpostartymi skrzydłami martwego bociana. Dziób jego był cały we krwi. Ta scena utkwiała mi w pamięci na zawsze.

Nie dano mi zbyt długo rozczulać się nad martwym ptakiem, bo gdzieś blisko rozległo się złowrogie grzechotanie

karabinu maszynowego, ktoś strzelał do nas z pobliskiej stoły.

„Banderowcy” – powiedział jakiś mężczyzna. Przygłębiliśmy do ziemi gnaliśmy w górę łąki. Aby do szosy! Po szosie jechały niemieckie motocykle z uzbrojonymi żołnierzami. Ciągnięta za rękę biegłam z ludźmi w stronę zagajnika.

W stojącej na drodze jedynej chacie, w zadymionej izbie siedziała tamta kobieta, z którą uciekaliśmy z Tłumacza i karmiła niemowlę. Nagle wpadł do chaty sowiecki żołnierz i zaczął ludzi wypędzać na dwór. Za obejściem stała „kałusza”. Gwizd pierwszej serii rzucił nas na ziemię, ale szybko podnieśliśmy się i pobiegliśmy w stronę wspomnianego zagajnika. Minęliśmy grupę drzew i znaleźliśmy się w zupełnej ciszy. Było cicho i seledynowo. Od Hryniowic słychać było dudnienie artylerii. Wracaliśmy do Tłumacza. Ktoś niośł zawiniątko z niemowlakiem. Jakiś mężczyzna powiedział cicho: „przeżyliśmy”.

Wróciliśmy do domu, gdzie czekały na nas zapłakane babcia i ciocia. Wówczas podobnie jak inni powiedziałam sobie: już żaden dziesiętnik nie wypędzi mnie z domu na poniewierkę.

Nie wiedziałam wówczas, że w niedługim czasie przyjdzie mi, tak jak innym tłumaczanom, opuścić na zawsze swój dom, swoje miasto i udać się na długą poniewierkę. □

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Zasłużony i dobry proboszcz Tłumacza

Ks. Lesław Jezowski

We wrocławskim kościele św. Stanisława i Doroty dnia 19 stycznia 1991 r. zgromadzili się w towarzystwie swoich rodzin liczni tłumaccy, aby uczestniczyć w uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy czczącej pamięć ich dawnego proboszcza. Na wmurowanej w prawą nawę kościoła granitowej, czarnej płycie widnieją słowa: Ks. Kanonik Edward Tabaczkowski 1872-1942, proboszcz parafii św. Anny w Tłumaczu w archidiecezji lwowskiej, zginął w więzieniu hitlerowskim w Stanisławowie. Oddał życie niosąc pomoc Polakom i Żydom. W hołdzie swemu duszpasterzowi – Tłumaccy. 1991.

Ten utrwalony w kamieniu tekst zapewne przez długie lata będzie przypominał przychodzącym do wspomnianego kościoła osobę zasłużonego i dobrego kapłana kresowego. Ale odczytującym go jeszcze później, gdy odejdą z tego świata ci, którzy go osobiście znali, mało już powie, kim on był. Dlatego uzupełnieniem, rozwinięciem napisu z kościelnego epitafium niech będzie niniejsze wspomnienie pochodzące od jednego z tych tłumaczan, którzy swojego długoletniego proboszcza dobrze znali i zapamiętali.

Miejscem urodzenia ks. Tabaczkowskiego była Trembowla, kresowe miasto o bogatej historii. W nim przyszedł na świat 12 października 1872 r. Ojciec ks. Edwarda był uczestnikiem powstania styczniowego w 1863 r. i zapewne umiłowanie Ojczyzny oraz zdolność do ofiar dla niej wszczepił swojemu synowi. Po nauce w szkole powszechnej i gimnazjum Edward złożył egzamin dojrzałości w Złoczowie. Po maturze rozpoczął studia filo-



*Ks. Tabaczkowski
proboszcz parafii św. Anny*

zoficzno-teologiczne we Lwowie. Po ich ukończeniu otrzymał tamże święcenia kapłańskie w 1898 r.

W 1910 r. powierzono mu parafię św. Anny w Tłumaczu, jakby nie było, powiatowym mieście. Odtąd aż do końca swego życia, czyli w ciągu 32 lat, pozostawał proboszczem tłumackim. Był następcą, chociaż nie bezpośrednim, słynnego ks. Franciszka Sawy, społecznika, pisarza, poety, który duszpasterzował w Tłumaczu w latach 1866-1897. Urzędowy Katalog duchowieństwa archidiecezji lwowskiej z 1912 r. podaje, że ks. Tabaczkowski posiadał odznaczenie kościelne expositorium canonicale, czyli honorowy tytuł kanonika, oraz państwowe: złoty krzyż zasługi z koroną. Jeżeli to pierwsze wyróżnienie otrzymywali w dawnej Galicji w zasadzie wszyscy proboszczowie znacniejszych miejscowości, drugie – władze świeckie przyznawały osobom mającym nieprzeciętne osiągnięcia w pracy społecznej.

Obecnie, po upływie tylu lat, przy braku dostępu do odpowiednich źródeł trudno jest wyliczyć wszystkie zasługi społeczne długoletniego tłumackiego proboszcza. Ale nie wolno przemiłczeć tych, które zachowała pamięć żyjących jeszcze jego parafian.

Z inicjatywy ks. Tabaczkowskiego przed I wojną światową powstał Katolicki Związek Samopomocy mający za zadanie ożywienie miejscowego rzemiosła i handlu. Ten handel koncentrował się w dużym sklepie, zwączęm się – podobnie jak w innych miastach – Składnicą Kółek Rolniczych. W sklepie tym tłumaczanie mogli nabywać artykuły spożywcze, a rolnicy z okolicznych wsi należących do parafii tłumackiej to, co było im potrzebne w ich pracy; mogli też sprzedawać swoje produkty. Ks. Tabaczkowski zachęcał wieśniaków do zrzeszania się w związku rolniczym, do wstępowania do kółek rolniczych. Aby ich działalność była efektywna i przynosiła dochody, organizował wyspecjalizowane kursy handlowe.

Podczas I wojny światowej do Legionów Polskich zaciągnął się szereg obywateli powiatu tłumackiego. Ks. Tabaczkowski pamiętał o nich, a ich rodziny otaczał materialną opieką. Podobnie postępował wobec Polaków, zmuszonych walczyć z Ukraińcami w latach 1918-1920. Dla wszystkich potrzebujących zorganizował akcję dożywiania i zaopatrywania w odzież. Najbardziej ofiarami wojny były sieroty. Dla nich, z własnych funduszy, ks. Tabaczkowski zbudował piętrowy dom, a codzienną troskę o dzieci w tej ochronie powierzył SS. Służebniczkom Starowiejskim.

W Tłumaczu powojennym pojawiło się zapotrzebowanie na żeńskie seminarium nauczycielskie, które kształciłoby personel wychowawczy do dawnych i świeżo powstających szkół. To było powodem utworzenia przez ks. Tabaczkowskiego w 1924 r. Towarzystwa Nauki Chrześcijańskiej, któremu podlegało wymienione seminarium i szkoła ćwiczeń. Przy seminarium działał internat prowadzony przez SS. de Notre Dame.

Lata kryzysu gospodarczego skłoniły ks. Tabaczkowskiego do otwarcia Banku Spółdzielczego Katolickiego Związku Samopomocy, mieszczącego się w budynku seminarium, który ułatwiał zainteresowanym Polakom ich działalność ekonomiczną.

Innym dziełem ks. Tabaczkowskiego była drukarnia powiatowa, z której wychodził m.in. w latach 1929-1931 „Orędownik Tłumacki”, czasopismo dwutygodniowe, a następnie cotygodniowe. Sprzedawał je sklep kościelny, też fundacja ks. proboszcza, gdzie znajdowały się również na składzie książki religijne i dewocjonalia.

Pewna ilość egzemplarzy „Orędownika” zachowała się w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Dzisiejszego ich czytelnika ogarnia podziw dla zaznaczonej tam społecznej i duszpasterskiej działalności ks. Tabaczkowskiego w okresie międzywojennym.

Np. zwracał on uwagę na ogromny wpływ, jaki wywierają na widzu oglądane przez niego filmy. Zachęcał do krytycznego patrzenia na ekran. Sugerował utworzenie specjalnego apostołstwa filmu. Tu trzeba dodać, że takie apostołstwo uformowało się w Kościele katolickim znacznie później z centralą w Rzymie i jednym z ośrodków w Brukseli, gdzie zapewne niczego nie wiedzianno o jego prekursorze w odległym, małym Tłumaczu.

Ks. Tabaczkowski należał do niemal wszystkich polskich organizacji działających w Tłumaczu. Np. Towarzystwo Szkoły Ludowej, Polski Czerwony Krzyż, Sokół itd. Brał udział w uroczystościach państwowych, odbierając wraz z przedstawicielami miejscowych władz m.in. defilady w dniach 3 Maja i 11 Listopada. Zapewne przywykł do tego jako dawny wicemarszałek powiatu. Był obecny na okolicznościowych akademiach i przedstawieniach urządzanych przeważnie w sali Sokoła.

Tak wszechstronna, prowadzona dla dobra Kościoła i państwa działalność ks. Tabaczkowskiego wymagała dla swej skuteczności i trwałości zrozumienia i poparcia oraz współpracy ze strony społeczeństwa tłumackiego. Niestety, ono zawodziło. A sam kapłan, chociaż tak gorliwy i ofiarny, nie mógł wszystkiemu podołać. Stąd wynikały jego porażki.

Seminarium nauczycielskie musiało ulec kilkakrotnej metamorfozie, aby ocalić swoją egzystencję. Drukarnia przeszła w ręce żydowskie, sklep kościelny został zamknięty, „Orędownik” przestał się ukazywać, bank zaniechał swojej działalności. Łączyło się to z dużymi stratami finansowymi ks. Tabaczkowskiego. Aby nie dopuścić do swojej materialnej ruiny i likwidacji reszty swoich dzieł musiał się imać różnych interesów nie zawsze dla każdego przejrzystych. Stąd brały się w Tłumaczu pewne niedomówienia, krytykanckie pomówienia.

Zewnętrzna, społeczna aktywność tłumackiego proboszcza absolutnie nie może przesłonić jego właściwej, duszpasterskiej pracy. Wytrwale dbał o kościół parafialny. Odmalował go, u cennego lwowskiego artysty-malarza, Stanisława Batowskiego, zamówił obrazy ołtarzowe, ufundował dzwon „Edward”. Na każde święta urządzał specjalną dekorację wnętrza kościoła. Np. w Zielone Święta zamieniało się ono w brzozowy gaj. Starą parterową plebanię przebudował na obszerniejszą, piętrową.

Ale większą troskę wykazywał ks. Tabaczkowski o żywy Kościół, którego część w Tłumaczu została powierzona jego pieczy. Przejawy tej dbałości to codzienne, regularnie odprawiane Msze św., codzienne słuchanie spowiedzi, w niedziele i święta uroczyste nabożeństwa majowe, czerwcowe i październikowe. W poście Droga Krzyżowa i Gorzkie Żale, w adwencie roraty. Procesje Bożego Ciała do ołtarzy rozmieszczonych w mieście, procesje do figury w parku miejskim. Wprowadził i pielegnował praktykę pierwszych piątków miesiąca. Corocznie były głoszone nauki rekolekcyjne, bodaj w 1935 r. odbyły się Misje parafialne prowadzone przez OO. Oblatów.

Kancelaria parafialna była miejscem, gdzie ks. proboszcz godził zwaśnionych, krzepił wątpiących, pocieszał smutnych, wspomagał potrzebujących. Chociaż młodzieżą z urzędu zajmowali się księża katecheci, ks. Tabaczkowski okazywał jej wiele zrozumienia i serca. Bywało, że jakimś uczniowi opłacił pielgrzymkę do czczzonego sanktuarium, za innego uiścił opłatę za naukę.

Rozumiał, że do odpowiedniego utrzymywania się poziomu życia duchowego wiernych nieodzownym jest budynek kościelny. Nadorożna, wieś odległa od Tłumacza około 6 km, a należąca do parafii tłumackiej takiego nie posiadała. Ks. Tabaczkowski utworzył więc tam komitet, który doprowadził do wzniesienia i poświęcenia kościoła na krótko przed II wojną światową.

Parafia tłumacka należała do dekanatu stanisławowskiego, i

w związku z tym ks. Eugeniusz Baziak, jako dziekan, wizytował ją w 1932 r. Chociaż wizytacja dziekańska nie posiada zbyt wysokiej rangi, mimo to ks. Tabaczkowski podejmował przybyłego kapłana z rewerencją i wielką gościnnością. Losy ks. Baziaka tak się ułożyły, że w 1937 r. przybył znowu na wizytację kanoniczną do Tłumacza, tym razem jako biskup sufragan lwowski. Został powitany i uhonorowany niezwykle. Ks. Tabaczkowski wypożyczył z kościoła ormiańskiego w Stanisławowie wspaniałe dekoracje użyte podczas koronacji obrazu MB Łaskawej w dniu 30 maja 1937 r. Całe miasto wprost tonęło w olbrzymich flagach o barwach kościelnych, narodowych i maryjnych, na wszystkich słupach miejskich widniały emblematy religijne, ulice były spowite girlandami zieleni, na ścianach domów wisiały transparenty i obrazy. Tłumy wiernych towarzyszyły wszystkim czynnościom biskupim, a ich postawa znalazła dużą pochwałę w wypowiedziach sufragana.

Proboszcz tłumacki nie posiadał zdolności kaznodziejskich. Toteż nie budził zainteresowania wiernych, gdy pojawiał się na ambonie. Tematycznie kazania ks. Tabaczkowskiego stanowiły swoisty przykład *silvae rerum*. Jednak niekiedy, co prawda nadzwyczaj rzadko, bywało inaczej. Sądzę, że wtedy, gdy przygotował się do kazania. Zwykle na to przygotowanie nie znajdował czasu.

Doceniał rolę prasy katolickiej w życiu religijnym. Dlatego wydawał swój „Orełdownik”. Gdy tłumaczenie niechętnie go nabywali, zaczął pismo sprzedawać łącznie z chętnie czytanim „Przewodnikiem Katolickim”. Gdy i ten sposób nie uratował egzystencji tłumackiego tygodnika, nie zaniechał kolportażu samego „Przewodnika”. Zajmował się tym na plebanii krewny księdza, p. Dunicz. Dzisiaj przykościelne rozprowadzenie prasy i książek katolickich nie jest niczym niezwykłym, ale przed wojną parafia tłumacka była jedną z nielicznych w Polsce, które je prowadziły.

Będąc dobrym kapłanem dla swoich parafian, ks. Tabaczkowski był też dobry dla swoich krewnych. Kilkoro z nich mieszkało na plebanii, dwoje posyłał do miejscowych szkół średnich, uiszczając za nich należne opłaty.

Wybuch wojny w 1939 r., wtargnięcie do Tłumacza wojsk sowieckich, aresztowania miejscowych prominentów, masowy wywóz ich rodzin do Kazachstanu przybiły psychicznie i zrujnowały zdrowotnie ks. Proboszcza. Zwłaszcza że od lat cierpiał na cukrzycę. Ale go nie załamały. Natychmiast przystąpił do pomagania ofiarom wojny. Szczególnie tym najbiedniejszym, przemierającym głodem na pustkowiach azjatyckich. Uzyskawszy ich adresy, co miesiąc wysyłał każdej rodzinie deportowanej z Tłumacza po 100 rubli, przysyłał im też paczki żywnościowe. Aby mieć na to fundusze, sprzedał swój dom, stojący przy bocznej ulicy Słowackiego. Miesięczną zapomogę otrzymywali też od niego młodzi tłumaczenie, którzy musieli opuścić swoje miasto w obawie przed uwięzieniem, i wegetowali gdzie indziej, doświadczając nieraz skrajnej biedy.

Dobre serce ks. Tabaczkowskiego biło też dla innowierców, dla Żydów zamkniętych w getcie oddzielonym tylko jezdnią od plebanii tłumackiej. I tu chcę przytoczyć wypowiedzi p. Szlomo Blonda, które usłyszałem od niego w Tel-Awivie, we wrześniu 1987 r.

Pewnego dnia, podczas niemieckiej okupacji Tłumacza, ks. Tabaczkowski chodził w ogrodzie plebańskim, odmawiając brewiarz. Spozrzegl na drodze wóz, na którym siedział miejscowy piekarz, p. Czohara. Rozglądając się na wszystkie strony, woźnica podniósł przykrycie i przerzucił przez oparowanie getta kilka bochenków chleba, po czym pojechał dalej do sklepu, do którego dostarczał pieczywo. Na drugi dzień ks. Tabaczkowski

poprosił do siebie p. Czoharę i powiedział mu, aby – jeżeli się uda – nie kilka, ale 50 bochenków codziennie przemycał do getta, a on mu za wszystkie zapłaci.

Wspomniany p. Blond, wraz ze swoją rodziną, ukrywał się w podtlumackiej wsi Jackówka, na strychu domu Krzemińskich. Pewnej nocy udało mu się dotrzeć na plebanie w Tłumaczu. Oznajmił ks. Tabaczkowskiemu, że przyszedł dać na Mszę św. Ksiądz był zupełnie zaskoczony. Żyd, a o Mszę prosi, Blond wyjaśnił, że Krzemińska z obawy przed Niemcami kilkakrotnie chciała, aby Blondowie opuścili jej dom, ale gdy wracała od spowiedzi u ks. Tabaczkowskiego oświadczała im, że mogą pozostać, bo ks. Kanonik nakazuje jej przetrzymywanie ich nadal. Więc z wdzięczności dla spowiednika i penitentki, on, chociaż Żyd, prosi o Mszę w ich intencji.

Ks. Tabaczkowski nie tylko w ten sposób ratował przed zagładą Żydów, ale również wydając im fałszywe metryki chrztu. Dzięki nim niejedynemu Żyd tłumacki i nietlumacki przeżył niemiecką okupację. Byłem od dawna ciekawy, kto wydał ks. Tabaczkowskiego władzom hitlerowskim, kto doniósł o jego pomocy Żydom, a tym samym spowodował jego uwięzienie i śmierć w lochach Gestapo w Stanisławowie, w dniu 20 października 1942 r. Zapytałem o to Blonda. Chwilę się zastanawiał, odszukiwał w pamięci nazwisko zdrajcy, i wypowiedział je: Duszka. Była to znana tłumacka przepupka żydowska, handlująca czym się dało. Swoim haniebnym postępkami nie wywinęła się jednak od męczeńskiej śmierci zadanej jej później przez Niemców.

P. Szlomo Blond poświęcił ks. Tabaczkowskiemu jeden rozdział swojej książki, w której przedstawił chrześcijan ratujących w powiecie tłumackim życie Żydom. Ukazała się ona w Tel-Awivie w 1983 r. po hebrajsku i angielsku, zatytułowana: *The righteous gentiles*.

Zajęty posługą duszpasterską, działalnością społeczną, gospodarczą, oświatową, charytatywną itp. ks. Tabaczkowski nie miał czasu dla siebie. Szczególnie na układanie swojej przeszłości znaczonej bogatymi beneficjami, odznaczeniami, tytułami, duchownymi godnościami.

Nie dbał o wygody mieszkalne. Na plebanii zajmował małe, skromne pomieszczenie, wspólna jadalnia poza starym, zniszczonym kredensem, podobnie wysłużonymi stołem i krzesłami nie posiadała niczego dostatniejszego.

Wytarta, wyświecona sutanna stanowiła jego codzienne odzienie. Jedynie na święta i większe uroczystości ubierał inną, z wszytą krótką pelerynką okrywającą ramiona, i guzikami przy szwach rękawów.

Po niejednym proboszczu pozostają spadkobiercom piękne meble, cenne zbiory, bogata garderoba, wartościowe wydawnictwa. Po ks. Tabaczkowskim pozostał tylko brewiarz, z którego modlił się całe lata i który zabrał ze sobą do więziennej celi. Ktoś podrzucił go do konfesjonalu jego następcy w Tłumaczu, ks. Jana Piszczoła. W brewiarzu znajdowała się anonimowa karta zawiadamiająca o śmierci ks. Edwarda Tabaczkowskiego. □

Od Redakcji:

Wyżej wspomniana Duszka po zatrzymaniu jej była męczona i szczuta psami przez gestapowców. Prawdopodobnie chodziło o wydobycie zeznania, kto dostarczył jej metrykę chrztu.

Naocznym świadkiem tego zdarzenia był (nieżyjący już) Marcell Molisak, który w tym czasie był kościelnym i zatrzymany został przez Kryminalną Policję w związku z powyższą sprawą.

Tę straszną scenę widział on przez uchylone drzwi jednego z pomieszczeń, w momencie, gdy wprowadzono go do budynku policyjnego.

Fragment poematu autorstwa ks. Czesława Tuzinkiewicza poświęcony pamięci tłumackiego duszpasterza ks. Edwarda Tabaczkowskiego w pierwszą rocznicę Jego śmierci.

„...Śladami Mistrza szedł przez życie swoje,
 Jako Duszpasterz na Chrystusa niwie...
 Przykładem życia nauczał prawdziwie,
 Choć sterany przez trudy i znoje,
 Szedł przez ugory za pługiem do końca
 Śladami Mistrza... do zachodu słońca...
 Znał wszystkie swoje owce po imieniu,
 Zachodząc często gościńcem pod strzechy...
 Gdzie ukojenia potrzeba w cierpieniu,
 Gdzie dobrej rady, wsparcia i pociechy,
 Tam On był zawsze pierwszy bez wezwania
 Ze swoim sercem, pełnym miłowania...
 (...)
 Na Jego piersiach nie było odznaczeń,
 Ale ich w duchu miał przed Panem mnóstwo,
 Bo szedł szlakami Chrystusa wyznaczeń,
 Zawsze tak cicho, przez Krzyż i ubóstwo...
 I życie Jego nazwać by kobiercem,

Które sam Chrystus nazaczył swym Sercem...
 Mijały lata... z nimi trudów wiele,
 Wojna znaczyła stygmatem cierpienia...
 Chyli się postać i włos się pobielili...
 A świat... w nagrodę przynosi więzienie.
 W ponurej celi na twardym betonie
 Kładą się do snu utrudzone skronie...
 A gdy umierał – na pewno tę chwilę
 Nadziemskim szczęściem Pan Bóg opramił...
 Sam Jezus Chrystus nad Nim się pochylił
 I ciemną celę w jasny kościół zmienił,
 Tak, jak to było za życia w niedzielę...
 Może pod stropem śpiewali Anieli
 Swoje niebiańskie przecudne hosanna...
 A Matka Boża i ta Święta Anna
 Z ołtarza zeszyły w złocistych sukienkach
 I duszę wzniosły do nieba na rękach...

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wspomnienia sybiraczki (c.d.)

Leonora Grenadier-Złotnik

W Pieszkowie czekały na nas ciężarowe „samochody” – raczej duże drewniane skrzynie, do których ładowano po kilka rodzin. I znów „skariej, skariej”. Wieziono nas szeroką, bezkresną, stepową równiną. Po kilkugodzinnej jeździe „samochód” zatrzymał się przed ziemianką, w której to była szkoła. I znów kazano szybko wysiadać, „samochód” odjechał jak widmo, a my zostaliśmy sami. Rozpacz, krzyki, płacz i modlitwa.

Po niedługim czasie przyjechał kibitką konną pretsidatiel – przewodniczący kolchozu, a za nim zległa cała wieś.

Donośnym głosem powiedział, że ten kolchoz nazywa się Prioziernyj, tu będziemy żyć, pracować i umierać. Pańską Polskę macie wybić sobie z głowy, bo jej już nie ma i do niej nigdy nie wrócicie.

Trzeba natychmiast przystąpić do pracy, bo kto nie pracuje, ten nie je. „Padochnietie” – umrzecie, koniec, pomyślałam, zaraz umrę – bo przecież nie umiem pracować, ręce mam takie małe. Poczulałam pierwszy raz, że mam serce, zaczęło mi bić, jakby ptak trzepotał skrzydłami w zamkniętej klatce.

Po takim mrozącym krew w żyłach wstępie zaczął się przetarg, kto kogo zabierze do ziemianki na kwaterę. Mamę moją, mnie i p. Cesię Tymińską z rodzicami zabrała Marchwa Pielipienko – kolchożnica i zarazem brygadystka polowa.

Ziemianka to wykopany dół przykryty trzciną (komyrzem) i ziemią. Składała się z dwóch części, w jednej części mieszkali ludzie, a w drugiej – zwierzęta domowe, zazwyczaj krowa i kilka owiec. Po stronie mieszkalnej na środku dość dużej izby, stał piec chlebowy – ale nigdy w nim chleba nie pieczono. Pod ścianami stały prycze. Podłóg nie było,

tylko klepisko. Dzieci spały na piecu, a dorośli na pryczach. Okienka w izbie były malutkie, tak że zawsze było w niej ciemno. Oświetlenie to tzw. kapecilka (kaganek) w pojemniczku nalany tłuszcz i w nim zanurzona szmatka. Zapalało się luczywem, ale w zwyczaju było chodzenie po tzw. „żar” do sąsiadów. Takie oświetlenie okopcało całą twarz czarną mazią, którą trudno było zmyć, a szczególnie czarny jak u kominiarza był nos.

W hacie był również święty kąt, w którym za carskich czasów wisiały święte obrazy. W tym kąciku domownicy modlili się i bili pokłony. Po rewolucji święty kąt pozostał, ale nie było już ikon, natomiast wisiał portret Stalina, względnie przywódców rewolucji i też kłaniano się i modlono jakby byli bogami. Dla nas dzieci były to praktyki bardzo śmieszne.

Zaraz po przyjeździe do kolchozu największe wrażenie zrobiła na mnie ludność tubylcza – azjaci, mali skośnoocy, Kirgizi. Mężczyźni w dużych futrzanych czapkach, głęboko osadzonych na głowach. Kobiety ubrane były w długie niebieskie suknie, a na głowach szale koloru sukien. Każda „oblepiona” dużą ilością dzieci. Te najmniejsze siedziały na plecach albo trzymane były na rękach. I ta duża ilość dziećmi rozładowała mój strach i panikę – pomyślałam, skoro znacznie mniejsze dzieci żyją i nawet się śmieją, to i ja będę żyła.

A teraz o kolchozie Prioziernyj. Osada składająca się z kilkunastu ziemianek, zagubiona w szarym bezkresnym stepie. Ziemianki stały wzdłuż wyboistej drogi. Po jednej stronie mieszkali Kirgizi, a po drugiej ludność napływowa z różnych stron Związku Sowieckiego, przeważnie rodziny ukraińskie znad Donu, zesłane po rewolucji. Zabudowania

kołchozowe były na końcu wsi – to wiaty dla owiec, duże obory dla bydła i koni. Sprzęt w postaci traktorów i kombajnów stał pod gołym niebem – bez wiat.

Chazajka – gospodyni, która nas przyjęła na kwaterę to samotna kobieta wychowująca małego synka – Stiope. To małe dziecko często dostawało od matki potężne lanie – bez powodu. Zastanawiałam się, za co on jest bity – skoro jest taki mały i niczym nie zawinił. W miarę dorastania rozumiałam, że lanie dostawał profilaktycznie – za to, że nie było co jeść, za ciężką pracę matki, za siarczasty mróz, za przymarznięte nogi do butów, za upał, za wszystko złe co się działo.

Mężczyzn w tym kołchozie nie było, (z wyjątkiem przewodniczącego kołchozu) siedzieli w więzieniach – tiumach albo wywiezieni byli do kopalń, względnie w dalekie tajgi do budowy tak zwanego „wielkiego komunizmu”.

W ziemiance, w której mieszkaliśmy, mieszkała również 12-letnia dziewczynka – Nastia. Dziecko niczyje, z przytułku – domu dziecka. Przyjęta przez naszą gospodynię z litości. To dziecko było dojarką w kołchozie, miała za zadanie wydoić około 5 krów, dwa razy dziennie – wieczorem i rano. To była dla dziecka ciężka praca. Pomagałam jej w tych zajęciach i przy okazji nauczyłam się doić krowy, co w przyszłości bardzo mi się przydało. Ale dla czego piszę o tej dziewczynce? Na przykładzie losu tego dziecka chcę pokazać, jak nieważny był człowiek, w tym nieludzkim ustroju, na nieludzkiej ziemi dla wszystkich tam żyjących ludzi.

Otóż, budzę się rano, by pomóc w obrządki, a Nastia nie ma. Biegnę do obory, nikt nic nie wie. Pytam gospodynię – milczy ze spuszczoną głową. Dziewczynka przepadła jak kamień w wodę. Zaczęłam dochodzić przyczyny jej zaginięcia. Właśnie, co jakiś czas do kołchozu przysyłano zapotrzebowanie na ludzi do pracy do kopalń i tajgi – do wyrębu drzewa, tzw. „kontyngent”. Odgórne polecenie musiało być wykonane natychmiast. To odstawianie ludzi odbywało się w nocy, w skrytości. Kto miał znajomości albo miał czym się wykupić (wykupowano się przeważnie samogonem), nie był odstawiany w ramach „kontyngentu”. Ale Nastia, niczyja, sierota została zabrana w nocy i ślad po niej zginął? Dlaczego ludzie tam milczeli? Bali się odzywać i cokolwiek mówić, woleli śpiewać. Jeśli ktokolwiek z kimś innym rozmawiał, był podsłuchiwany, rozmowa była różnie interpretowana i donoszona do władz. Za takie wrogie rozmowy były również kary.

Jeszcze jeden przykład, jak nieważny był człowiek. Za wsią stała ziemianka i bardzo skromne obejście w postaci obórki i komórki. W tej chatce mieszkała babuszka – babcia. Babuszka to kobieta w nieokreślonym wieku, mogła mieć 30 albo 50 lat, bo do 60 lat ludzie nie dożywali, a jeśli dożywali, to były to sporadyczne wypadki. Otóż „babuszka” miała syna kilkunastoletniego, trochę umysłowo upośledzonego. I tak obydwójce żyli na uboczu wsi, nie należąc do kołchozu. Często od tej kobiety dostawałam jedzenie. Rano pod fartuszkami, by nikt nie widział, przynosiła mi pierożki i podpłomyki, tzw. „korżyki”. Były wspaniałe, może dlatego, że byłam głodna. Przy okazji przynoszenia mi jedzenia opowiadała swoje katorżne życie. Była to dońska Kozaczka, a mąż jej był białogwardzistą. W roku 1922, już po rewolucji, została wywieziona z siedmiorgiem dzieci nad morze Aralskie. Jak opowiadała, zabrali ich w nocy z domu, wsadzili do bydłowego wagonu i transportem wieźli długo, a potem wyrzucili nad morzem, gdzie nie było niczego, tylko piasek i słona morska woda. Sześcioro jej dzieci zmarło z

głodu, tylko pozostał syn. Taka dygresja odnośnie głodu: jeśli człowiek długo głoduje, a przeżyje, to pod wpływem głodu następują między innymi nieodwracalne zmiany w mózgu, stąd ten chłopak był nienormalny. A jeszcze u Sowietów był taki zwyczaj: jeśli niczym nie można złamać człowieka, to złamiesz go głodem; i niszczyli ludzi głodem. Po kilku latach tej zsyłki, w ramach amnestii, kobieta ta powróciła z synem w rodzinne strony. Znowu za kilka miesięcy przyszli w nocy, wsadzili do transportu i wywieźli, tym razem do Kazachstanu, do kołchozu Prioziernyj. Opowiadała niesamowite historie, co wyczyniała „właśc. sowiecka” po rewolucji z ludnością cywilną.

Po latach rozumiałam, jak wielkim darzyła mnie zaufaniem, nie bojąc się, że doniosę do władz o naszych rozmowach. Z pewnością musiałam przypominać jej jedno z umarłych dzieci.

Jeszcze chcę opisać – choćby z racji swojego zawodu – warunki klimatyczno-przyrodnicze, które mają ogromny wpływ na życie nie tylko ludzi, w myśl zasady, że przyroda może istnieć bez człowieka, ale człowiek bez przyrody – nie.

Przyroda widziana w tamtych odległych latach oczami dziecka, została uzupełniona wiadomościami profesjonalnymi w wieku dojrzałym.

Otóż klimat tam był stepowy – suchy. Deszcze padały rzadko, a jeśli to bardzo ulewne. Amplitudy roczne wahały się w granicach: -40°C w zimie i około $+40^{\circ}\text{C}$ w lecie. Proszę sobie wyobrazić, jak ciężkie były tylko warunki termiczne. Przeżyć zimę tak mroźną i lato tak upalne – to wręcz zabójcze. Lato trwało krótko, od maja do października. Nie było wiosny i jesieni. Hałdy śniegu topiły się w ciągu kilku dni w maju i wtedy następowało upalne lato. Październik zaczynał się burzą śnieżną, tzw. „buranem” i to był początek zimy.

„Na wiosnę”, po stopieniu śniegu, step zakwitał kolorowymi kwiatami, niebieskimi, podobnymi do naszych krokusów. Ta piękna kolorystyka trwała bardzo krótko. Potem step pod wpływem wysokich temperatur i suszy zamieniał się w szarobrunatną bezkresną dal, po którym biegały tzw. „baby” – rośliny kulistego kształtu o dość dużych rozmiarach. Każda łodyga zakończona była tzw. niemi i bardzo kłującymi igłami. Te „igły” to były nasiona wiatropylne. Jeśli taka nitka z igłą zraniła ciało, to powstawał trwały ślad w postaci zaczerwienionego obrzęku, a potem ropień, który długo się goił.

W zimie, oprócz tych niskich temperatur, jeszcze częstszym zjawiskiem były „burany” – huragany śnieżne. Burza śnieżna przychodziła niczym nie zapowiadana. Nagle robiło się ciemno, śniegiem miotło ze wszystkich stron i z nieba, i jakby spod ziemi, a wiatr wył złowrogimi głosami, przywórcze wycia wilków. Jeśli taki „buran” spotkał człowieka w stepie – co często się zdarzało – to nie miał szans przeżycia. Zawiało, mróz zmroził, wilki rozszarpały, i był koniec.

Huragan trwał kilka dni, pozostawiając po sobie góry śniegu. Znikał, jak i przychodził, niespodziewanie. Po nim świeciło słońce – jaskrawe. Od jaskrawego słońca i dziewiczej bieli śniegu dostawało się śniegowej ślepoty (była to choroba oczu). Doświadczyłam również tej choroby.

Nie wiem, jakiego rodzaju były tam gleby, ale na pewno żyzne, skoro były takie duże urodzaje. Urodzaju wtedy nie było, kiedy panowała susza. Uprawiano tam: pszenicę jarą (szybko dojrzewającą), słonecznik i proso, ziemniaki tylko przy domowych zagonkach.

Do żniw przystępowano na polecenie odgórne. Jeśli nadano telegram z Moskwy o konieczności przystąpienia do zbiorów, to zaczynało zboże kosić, nie bacząc na to, że pszenica jest dopiero w dojrzałości mlecznowoskowej, czyli nie dojrzała. Marnotrawstwo pracy ludzkiej było ogromne. Praca wręcz nie liczyła się. Jako przykład podam zbiór pszenicy. Przede wszystkim zaczynało żniwa za wcześnie (toteż były duże straty), ale w międzyczasie kombajn popsuł się i zboże zdążyło dojrzeć. Pod koszący kombajn podjeżdżały wozy zaprzężone w woły robocze i odstawiały pszenicę do tzw. pryzm, które to sypane były pod gołym niebem. I tak te pryzmy były aż do stopnienia śniegu. Obrastały grubym kożuchem pszenicznym, który na wiosnę zwijano jak dywan, a na dnie zostawało trochę zboża, stęchłego i spleśniałego. Pomimo tak dużego marnotrawstwa nie wolno

było nawet do garści zabrać trochę pszenicy, jeśli złapano, groziło więzienie.

Pamiętam, będąc w stepie na łanie prosa, zachwyliłam się dużymi, złotymi kiściami ziarna. Liści tych nie były w stanie udźwignąć, wszystkie leżały na ziemi. I jak w filmie Hitchcocka, w jednej sekundzie, nawet nie zdążyłam się obejrzeć, jak zleciało się stado dużych czarnych ptaków i „wymłóciły” cały łan w kilka minut. Nie było problemu z koszeniem i kłeską urodzaju. Stałam w tym stadzie ptaków niezauważona, nie bały się, widocznie potraktowały mnie, jak trochę większego ptaka.

W czasie letnich upałów, step był tak suchy, że zapalał się od pozostawionego kawałka szkła. Był to żywioł nie do opanowania. W pożarze ginęli ludzie i zwierzęta.

W takich to warunkach przyszło nam żyć prawie sześć lat.
(c.d.n.)

Tłumacki Holocaust

Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi

Shlomo Blond

Ciąg dalszy wyjątków z książki „The Righte ans Gentiles”, wyd. w Izraelu w 1970 r.

Dwie kobiety: Petronela¹ i Alena (Helena?)² Hołyńska

Chaim Inslicht mieszkał z żoną Reisel i dwójką małych dzieci (10-letnią Etką i 5-letnim Mosze) w Tłumaczu przy ul. Kolinieckiej, gdzie posiadał gospodarstwo rolne. Ponieważ gospodarstwo Chaima było duże, zatrudniał on od czasu do czasu, zwłaszcza w okresie żniw, robotników-chrześcijan. Na stałe pracowały u niego dwie kobiety – chrześcijanki. Jedna, o imieniu Petronela, pomagała w kuchni, druga, Alena (Helena?) Hołyńska, była dojarką. Należyte traktowanie obu kobiet (dobre wynagrodzenie i odpowiednie warunki pracy) sprawiało, że stosunki między nimi a rodziną pracodawcy układały się bardzo dobrze.

Praca w gospodarstwie uległa znacznemu pogorszeniu z chwilą gdy Tłumacz znalazł się we władaniu Sowietów (1939-1941). Początkowo nowe władze zezwalały na prowadzenie indywidualnych gospodarstw, ale na gospodarstwa te nałożono ogromne opłaty i nie zezwalano na zatrudnienie siły najemnej. Pomimo tych trudności na placach targowych pełno było rolnych artykułów spożywczych, masła, sera, jaj, drobiu itp. Pustkami natomiast świeciły sklepy i składy handlowe. Ludzie zdawali sobie sprawę, że prywatny handel będzie tak długo istniał, dopóki władza sowiecka nie ustabilizuje się i kolektywizacja nie zapaści swych korzeni na dobre.

W czerwcu 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, a we wrześniu do Tłumacza wkroczyli Niemcy (wcześniej stacjonowały w mieście oddziały węgierskie). Władze niemieckie zezwoliły Żydom – rolnikom pozostawać na swoich gospodarstwach do następnych żniw. Po tym terminie mieli przejść do getta. Obowiązywała ich jednak ograniczona swoboda w poruszaniu się, zobowiązani byli również, tak

jak pozostali Żydzi, do noszenia opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Właśnie za brak opaski Reisel, żona Chaima została zastrzelona przez gestapowca. Zrozpaczony mężczyzna został sam z dwojgiem dzieci.

Sytuacja ludności żydowskiej z dnia na dzień stawała się coraz bardziej tragiczna. Łapanie, wywożenie i zabijanie Żydów na ulicy były codziennym zjawiskiem. Gdy po żniwach Chaim z dziećmi znalazł się w getcie, zdał sobie sprawę, że getto jest ostatnią stacją przed śmiercią. Niemcy bowiem cały region postanowili zamienić w „Judenrein”.

W tej tragicznej sytuacji Chaim porozumiał się ze swoją dawną pracownicą Petronelą, prosząc ją o ukrycie siebie wraz z dziećmi. Kobieta bez najmniejszego sprzeciwu zgodziła się udzielić mu pomocy. To była okazja do odwzajemnienia się swemu dawnemu pracodawcy za jego życzliwość.

W nocy Chaim opuścił z dziećmi getto i ukrył się w domu Petroneli. Kobieta ta mieszkała razem z synem, który został poinformowany o wszystkim.

Ponieważ Petroneli brakowało żywności, więc Chaim z synem gospodyni poszedł na pole i wykopał ukryte tam przez siebie pieniądze i biżuterię. Teraz wszyscy mieli zapewnione dostatnie życie. W domu Petroneli Chaim pozostawał dziewięć miesięcy, aż do chwili, gdy kobieta ciężko zaniemogła i nie była w stanie prowadzić gospodarstwa.

Nie mając wyboru Chaim zwrócił się o pomoc do swojej drugiej byłej pracownicy – biednej wdowy Aleny (Heleny?) Hołyńskiej. Ta również nie odmówiła jego prośbie. Ponieważ zaistniała konieczność zbudowania schronu dla trzech osób, Chaim zaproponował, aby zrobić go na strychu, a otrzymawszy od gospodyni zgodę zabrał się do roboty.

O przechowywaniu byłego pracodawcy i jego dzieci nie wiedziała nawet córka Hołyńskiej, która mieszkała niedale-

ko matki. Jedynie wspomniany syn Petroneli zaopatrywał Chaima w żywność, którą kupował za dostarczane mu pieniądze. Chaim dawał mu również pieniądze dla jego chorej matki, za co obydwójce byli mu wdzięczni.

W 1943 r. zima była bardzo ostra i dzieci w stodole nie przeżyłyby takich mrozów. Gospodyni zgodziła się więc, żeby Chaim zbudował schron wewnątrz domu, żeby tam wszyscy przezimowali.

W marcu 1944 r. w wyniku ofensywy sowieckiej Tłumacz został zdobyty przez Rosjan. Wówczas Chaim opuścił schron. Jednak po dwóch tygodniach Niemcy przypuścili kontratak na Tłumacz i Sowietci zmuszeni byli wycofać się z miasta. Chaim poszedł więc z wojskiem sowieckim i pomimo trudności komunikacyjnych dotarł do Czerniowiec.

W lipcu 1944 r., kiedy Tłumacz został już ostatecznie zdobyty przez Sowieców, Chaim wrócił do miasta.

To samo uczyniło kilku uratowanych Żydów – mieszkańców Tłumacza.

Wkrótce jednak przekonali się oni, że ich życiu nadal grozi niebezpieczeństwo – tym razem ze strony ukraińskich nacjonalistycznych band, które za cel stawiały sobie zlikwidowanie tej garstki Żydów, która ocalała i obalenie władzy radzieckiej.

Pewnego dnia Chaim Inslicht wraz z Peretzem Sprechmanem i Leiserem Buchwaldem udali się do Stanisławowa. W lesie koło Palachicz zostali napadnięci przez liczną bandę ukraińskich nacjonalistów, która zamordowała Chaima Inslichta i Peretza Sprechmana. Natomiast Leiserowi Buchwaldowi, który był młodym chłopcem udało się zeskoczyć z wozu i skryć się w zaroślach. Żydzi z Tłumacza wstrząśnięci byli tym morderstwem. Poczuli się bezbronni wobec prześladowań ze strony ukraińskich nacjonalistycznych band. W tej sytuacji zmuszeni byli z bólem serca rozstać się ze swoim miastem. i udać się do Stanisławowa. W Stanisławowie było bezpieczniej, gdyż zgromadzone tu były znaczne oddziały wojsk sowieckich kierowanych do walki z ukraińskim podziemiem.

Razem z żoną (wspomina S. Blond – przyp. red.) i z innymi udaliśmy się do Stanisławowa, zabierając z sobą sieroty po Chaimie. Później repatriowaliśmy do Polski. W ramach operacji pod nazwą „brika”, która miała za zadanie

pomóc Żydom w opuszczeniu Europy, dzieci Chaima Inslichta wyjechały do Palestyny i żyją tu po dzień dzisiejszy. Od nich dowiedziałem się o tej historii, która zdarzyła się w tej „dolinie płaczu”.

Dwie kobiety Petronela i Alena (Helena?) Hołyńska, które narażały się na śmiertelne niebezpieczeństwo ratując trzy istnienia żydowskie w tych trudnych czasach, zasłużyły na to, by ich imiona znalazły się wśród „Prawych Chrześcijan” („R.G.”). (c.d.n.)

¹⁾ Nazwisko nieznane

²⁾ Imię Hołyńskiej brzmi prawdopodobnie Helena.

Po latach

Po przeczytaniu fragmentu książki S. Blonda „Sprawiedliwi, prawi...” dotyczącego przeżyć Chaima Inslichta i jego dzieci przypomniało mi się pewne wydarzenie sprzed lat.

W roku szkolnym 1944/45, po dłuższej przerwie znów byłam uczennicą Niepełnej Szkoły Średniej z polskim językiem nauczania) w Tłumaczu. Szkoła mieściła się przy ul. Kolinieckiej.

Do szkoły tej uczęszczało rodzeństwo pochodzenia żydowskiego. Dziewczynka była starsza – oboje chodzili do niższych klas.

Pewnego razu podczas przerwy rozległ się na korytarzu szkolnym krzyk, a później szloch owej żydowskiej uczennicy. Zobaczyłam jak dorosła Żydówka tuli ją do siebie i uspokaja, następnie wyprowadza ze szkoły.

Potem dowiedziałam się, że właśnie zawiadomiono tę uczennicę o śmierci ojca, który zginął z rąk banderowców w drodze do Stanisławowa.

Z czasem zapomniałam, jak brzmiało nazwisko nieśczęsnego rodzeństwa. Po lekturze książki S. Blonda myślałam, że były to dzieci Chaima Inslichta, gdyż w owym czasie w szkole, o ile pamiętam, nie było innych uczniów żydowskiego pochodzenia.

Tragedią tego rodzeństwa przejęłam się wówczas mocno, więc jest mi szczególnie miło, gdy dowiedziałam się, że dalsze ich losy ułożyły się pomyślnie.

Krystyna Ossowska-Korta

Wiadomości z życia tłumaczan

Tłumacki opłatek

Roma Lityńska-Króliczek

W dniu 24 I 1998 r. o g. 13.00 we Wrocławiu, w Medycznym Studium Zawodowym Nr 5 odbyło się tradycyjne opłatkowe spotkanie Klubu Tłumaczan. Zjechali się Tłumaczanie z różnych stron Polski, nie bacząc na niedogodności podróży, stęsknieni za sobą, związani silnymi uczuciami braterstwa, chęcią przebywania ze sobą chociaż kilka godzin.

W skromnej, ale gustownie i świątecznie udekorowanej sali stały stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami. Przygotowanie sali było dziełem Nusi i Ziuty Panachidownych, Jurka

Czyżycykiego i Władka Geruły. Na stołach płonące kolorowe świece i było mnóstwo kanapek, ciast, ciasteczek, owoców i słodczy. Wśród owych smakowitości królował najważniejszy: biały opłatek.

*„Weź do ręki biały opłatek,
choćbyś nie miał nawet go z kim dzielić
i życz szczęścia całemu światu:
niech się wszystkie serca rozwesela.”*

(Z. Kunstman)

W bardzo uroczystej, podniosłej atmosferze, po odmówieniu pacierza dzieliliśmy się opłatkiem, życząc sobie zdrowia i wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. To była bardzo wzruszająca chwila, mająca dla nas nieomal mistyczne znaczenie – niejednemu łza jak groch stoczyła się po policzku. Takich łez nie trzeba się wstydzić. Myśleliśmy

o tym, że nas coraz mniej, ciągle ktoś z licznego niegdyś grona odchodzi, pozostawiając w żalu rodaków. Nasza mnie taka refleksja: pamiętajmy szanować i kochać bliźnich, gdyż tak szybko odchodzą, a za życia nie zawsze potrafiliśmy im przekazać, jak bardzo są dla nas drodzy.

Po zakończeniu ceremonii dzielenia się opłatkiem, nastąpił poczęstunek. Gorący, czerwony barszczyk z pasztecikami był wymieniony, kanapki, ciasta, owoce, kawa lub herbata, zgodnie z życzeniem. Kanapki jak zwykle przygotowały nieocenione wrocławskie Tłumaczanki Luka Bilińska i Mira Seidler oraz przybyła z Warszawy Krysia Bojczuk. Do stołu podawała Jadzia Królikowska – najmłodsza z tłumackiego grona – robiła to szybko i sprawnie.

Następnie, kiedy już trochę posililiśmy się, przyszedł czas na kolędowanie. Jak pięknie brzmiały słowa kolędy „Gdy się Chrystus rodzi...” – śpiewane przez Tłumaczan, bo Tłumaczanie mają takie głosy, które się niosą wysoko, prosto przed tron Boga i Stworzyciela. Muszę tu wspomnieć o Bronci i Wisi Burczyńskich, które tak pięknie śpiewały, jakby czas się dla nich zatrzymał, jakby miały znów po 20 lat. Słuchając takiego śpiewu – dusza się radowała, a serce ogarniało błogie uczucie. Jestem pewna, że po takim śpiewaniu sam Pan Bóg dobrotliwym i łaskawym okiem spojrzał na Tłumaczan. W dalszej kolejności nastąpiły luźne rozmowy, tzw. po tłumacku „rajkanie”, oraz wspomnienia. Z wielką radością przyjęliśmy wiadomość, że Helenka Maliszewska-Zabojska została babcią i ma malutkiego wnusia. Szczerze dzielił się Jej Radość. Ucieszyła nas też wiadomość o zawarciu związku małżeńskiego między przemilą Nusią Tominą i Andrzejem Gabańskim. Daj im Boże dużo zdrowia, szczęścia i długich lat życia. Przypominam, że

państwo młodzi poznali się na Zjeździe Tłumaczan w Kołobrzegu.

Spotkanie dobiegało końca, zbliżał się czas rozstania. Rozstania bywają smutne, ale my żegnaliśmy się z nadzieją w sercach, że za parę miesięcy znowu się zobaczymy na dorocznym zjeździe w Kołobrzegu. Całość naszego spotkania opłatkowego utrwalał na kasecie video dr Romuald Tuzinkiewicz, za co składamy Mu serdeczne dzięki oraz mamy nadzieję, że będziemy w Kołobrzegu ten film oglądali i przeżywali jeszcze raz te niezapomniane chwile.

Chciałabym na zakończenie podkreślić szczególnie wspaniałą, serdeczną i prawdziwie rodzinną, tłumacką atmosferę spotkania opłatkowego.

Na twarzach obecnych było widać, jak bardzo się sobą cieszą, jak są zbratani i złączeni nierozzerwalnym węzłem wspólnoty i miłości do miejsca, skąd się wywodzimy i gdzie pozostały zarośnięte burzanami groby naszych przodków.

W imieniu obecnych na opłatku Tłumaczan pragnę gorąco podziękować tym, którzy nie mogli przyjechać, lecz przysłali życzenia i pozdrowienia. Daj Boże, aby w czerwcu mogli do nas dołączyć.

Czas mijał – wzruszające pożegnania zakończyły spotkanie opłatkowe Tłumaczan, każdy śpieszył na dworzec kolejowy lub autobusowy. Parę osób zatrzymało się u bliskich lub znajomych we Wrocławiu, żeby nie podróżować nocą. Do tych szczęśliwców należałam i ja, której serdecznej gościny udzieliła Renia Hendyńska z Oławy, za co jej bardzo dziękuję. Kończąc raz jeszcze powtórzę:

*Śpieszmy się kochać bliźnich,
bo tak prędko odchodzą.*

Z protokołu

W dniu 12 lutego 1998 roku odbyło się pierwsze zebranie Zarządu nowo zarejestrowanego Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan we Wrocławiu. Na zebraniu tym skarbnik Oddziału, kol. Anna Panachida-Bocheńska przedstawiła sprawozdanie finansowe za rok 1997, który został zamknięty saldą bankowym w wysokości 9546,41. Po szczegółowym omówieniu spraw finansowych Zarząd Oddziału sprawozdanie przyjął. Zostanie ono jeszcze przedstawione do zatwierdzenia na corocznym Walnym Zjeździe Członków Oddziału w Kołobrzegu w m-cu czerwcu br.

Następnie kol. Danuta Tabińska-Juhasz zapoznała

zebranych z treścią szykującego się do druku następnego numeru „Zeszytów Tłumackich” – 1 (9) 98. Wspólnie uzgodniono niektóre problemy wydawnicze.

Kol. Jerzy Czyżycki odczytał przysłany przez Zarząd Gł. projekt nowego statutu TMLiKPW. Po szerokiej dyskusji postanowiono przesłać do ZG parę zmian, które naszym zdaniem należałoby uwzględnić w nowym statucie Towarzystwa.

Na zakończenie została omówiona sprawa wczasów w Kołobrzegu. Pomimo że Ośrodek zmienił właściciela, termin wczasów nie ulegnie zmianie i, jak w latach ubiegłych, będzie od 1 – 14 czerwca.

Jerzy Czyżycki

Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.)

Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995

Janina Petrus-Duszyńska

3-5 czerwca 1978, Koszalin

Ten zjazd byłych uczniów Państwowego Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu został zorganizowany z okazji 60 rocznicy zdanja 17 czerwca 1918 roku pierwszej matury w niepodległej Polsce. Egzamin maturalny w tym gimnazjum, które powstało w 1910 roku, złożyło wówczas trzech absolwentów VIII klasy: Adolf Klodnicki, Leon Jarosław Łoszników i Chaim Izaak Schlesinger.

Zorganizowania tego spotkania podjął się mgr Karol Mytnik. Miało być ono zjazdem wszystkich byłych absolwentów i uczniów Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu, którzy uczęszczali do tego zakładu w latach 1910-1939. Było to jak na jednego człowieka zadanie ogromne. Wymagało poniesienia kosztów i przeprowadzenia bardzo dużej korespondencji – znalezienie adresów, ustalenie dogodnego terminu i programu, powiadomienie potencjalnych uczestników oraz przesłanie zaproszeń tym, którzy wyrazili chęć uczestniczenia. Trzeba było załatwić noclegi, posiłki i autobusy do przewożenia uczestników na wycieczki. Kolega Mytnik sprostał temu zadaniu i wysłał 71 zawiadomień o zjeździe, na które otrzymał 50 odpowiedzi, ale ostatecznie w spotkaniu wzięło udział tylko 36 osób.

Spośród trzech żyjących jeszcze wychowawców zawiado-

mionych i zaproszonych nie przybył nikt. Byli to: prof. dr Tadeusz Poźniak, prof. dr Olga Skibniewska i prof. Maria Krokerowa. Sekretariat byłego Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu reprezentowała jedynie pani Janina Kroszenko-Ziołcka. Na zjazd przybyły następujące osoby: Kajetan Agopsowicz, Zachariasz Agopsowicz, Janina Białkowska-Pactwa, Anastazja Białkowska-Wrońska, Józefa Bilińska-Agopsowicz, Ludwik Bloch, ks. Roman Daca, Tadeusz Domaśzewski, Marian Haraszkiewicz, Tadeusz Hoffnan, Michał Ilczyszyn (senior spotkania, uczeń I klasy z 1910 r.), Janina Kasperek-Agopsowicz, Tadeusz Kłonowski, Karol Kraus, Janina Kroszenko-Ziołcka, Stanisław Kurczab, Gustaw Ładzieński, Włodzimierz Łapkowski, Józef Macalski, Leonard Mandyna, Włodzimierz Masiewicz, Jadwiga Matejko-Kołodziej, Anna Mierzwińska-Korcowska, Rudolf Mikuszewski, Maria Molisak-Ossowska, Karol Mytnik, Michał Nikosiewicz, Franciszek Oleksiński, Irena Pełech-Ruszel, Stefania Piotrowicz-Pytlak, Marian Rolewicz, Ada Słotarska-Marcinowska, Stanisław Śniechowski, Janina Urbaniak, Jan Wąsowicz, Bronisław Zuber.

Jak ustalono, najliczniej przybyła „klasa maturalna” z 1939 r., licząc na zjeździe 12 osób. W tak licznej gromadce spotkali się zresztą po raz pierwszy od czasu zakończenia wojny. Z innych roczników były po dwie trzy osoby, albo nie było nikogo.

Spotkanie zaczęło się już 2 czerwca, gdyż kilku uczestników przybyło wieczorem tego dnia i zamieszkało w Mielnie. 3 czerwca od rana zaczęli się do Koszalina zjeżdżać z całego kraju pozostali uczestnicy spotkania. Wszyscy zgłaszali się do mieszkania w domu przy ul. Wyspiańskiego, do kol. Karola Mytnika, gdzie przy obficie zastawionych stołach witano się, przypominano i rozpoznawano. Śniadanie upływało wśród rozmów, zaskakujących i rozczulających spotkań nie widzianych od dziesiątków lat koleżanek i kolegów. Zjeżdżano się aż do godz. 14, po czym udano się razem do niedaleko położonej szkoły, gdzie w stołówce szkolnej był przygotowany uroczysty obiad przy pięknie przybranych, ustawionych w podkowę stołach. Po spożyciu posiłku, przerywanego często toastami, wszyscy udali się do autokaru, którym od godz. 17 do zmroku zwiedzali Koszalin i jego okolice – amfiteatr, Górę Chełmską, stadion i nowe dzielnice miasta. Wieczorem, pełni wrażeń, zmęczeni podróżą i zwiedzaniem wszyscy udali się na spoczynek, ale długo jeszcze prowadzili w pokojach „rodaków rozmowy” – wspominając przeszłe lata.

W niedzielę 4 czerwca udano się autokarem do Kołobrzegu, gdzie w katedrze uczestniczono w mszy św. odprawionej wspólnie z miejscowym księdzem przez tłumackiego ks. dr. prałata Romana Dacę. Po mszy św. zwiedzano miasto i port oraz odbyto rejs po morzu. Po wspólnym obiedzie w restauracji „Fregata” nastąpił powrót do Koszalina i Mielna. Wieczorem w Mielnie odbyło się spotkanie przy herbacie i ciastkach. Były przemówienia, opowiadania, wspomnienia.

Doktor med. Michał Ilczyszyn mówił o swoich latach szkolnych, o profesorach i kolegach, o życiu lekarza w małym miasteczku, mniejszym od Tłumacza, gdzie zdobył uznanie dla swojej pracy, poważanie i szacunek. Mając lat 80 jeszcze pracuje, ostatnio został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Docent Jan Wąsowicz mówił o latach gimnazjalnych jako o szkole charakteru, prawości, szacunku dla wiedzy. W gimnazjum, mimo trudnych warunków materialnych, miał czas i na życie pozaszkolne, prowadził drużynę harcerską, brał udział w organizowaniu letnich obozów drużyny tłumackiej. Wtedy w Tłumaczu związał się z młodzieżą. Po maturze poszedł na studia humanistyczne na Uniwersytecie

Jana Kazimierza we Lwowie i nadal pracował w harcerstwie. Był przez wiele lat komendantem chorągwi lwowskiej. Po bardzo trudnym okresie lat 1939-1947, poświęcił się pracy naukowej, nadal przebywając wśród młodzieży, zdobył jej szacunek, przywiązanie. Będąc już od wielu lat na emeryturze, bierze czynny udział w pracach Towarzystwa Nauk Przyrodniczych im. Mikołaja Kopernika, uczestniczy w komisjach „Olimpiad Przyrodniczych”. Twierdził, że wszystko zawdzięcza profesorom gimnazjum w Tłumaczu.

Prawie wszyscy obecni na tym spotkaniu zabierali głos. Mówili o latach szkolnych – pełni refleksji i zadumy nad przeszłością. Łzy kręciły się w niejednym oku i trudno było się rozstać, mimo bardzo późnej pory. W tym gronie zatarły się różnice wieku, każdy wypowiadał to, co czuł kiedyś będąc uczniem, a co teraz, na tym spotkaniu wróciło we wspomnieniach. Wspominano też dyrektorów i profesorów – ich zasługi jako wychowawców, ich słabości ludzkie. Bardzo brakowało ich na tym spotkaniu.

Wielkie wzruszenie wśród zebranych wywołał odczytany list od profesora Tadeusza Poźniaka z Anglii: „...serdecznie dziękuję za list i zaproszenie na zjazd koleżeński wielce szanownych i drogich Pań i Panów. Przesyłając najlepsze życzenia pomyślności wszystkim uczestnikom zjazdu oraz zapewnienia pamięci modlitewnej o odeszłych z tego świata kolegach profesorach, ze śp. Dyrektorem Stanisławem Mendralą i śp. ks. dr. Mikołajem Witkowskim – na czele, jako też o byłych moich uczennicach i uczniach – zapewniam zjazd o mojej głębokiej wdzięczności za pamięć i o mojej wzajemnej pamięci o Was. O ile zdrowie i okoliczności pozwolą, pojedę w tym roku na kilka dni do Polski, ale niestety będzie to już na pewno po zjeździe. Z bardzo serdecznymi życzeniami pomyślnych i miłych obrad, oraz osobistymi uściskami Waszych zacnych dłoni – zdaje się już jedyny Wasz żyjący profesor Tadeusz Poźniak.

W trzecim dniu spotkania udano się autokarem na wybieżkę do Połczyna Zdroju, gdzie po zwiedzaniu parku zdrojowego zjedzono wspólny obiad w restauracji „Parkowa”. W drodze powrotnej do Koszalina zatrzymano się w Starym Drawsku (zamek – jezioro), a potem nad pięcioma pięknymi jeziorami. W Koszalinie pożegnali się ci, którzy zaraz odjeżdżali, innych, odjeżdżających w nocy, zaprosił Karol Mytnik, do swego mieszkania. Bez końca ciągnęły się serdeczne koleżeńskie rozmowy, wszyscy odczuwali niedosyt tych spotkań kameralnych. Pozostali wreszcie tylko koledzy Janina i Zachariasz Agopsowiczowie oraz Michał Nikosiewicz, którzy skorzystali jeszcze z gościnnego noclegu i śniadania, opuszczając gościnne progi rano 6 czerwca.

Dla upamiętnienia tych profesorów i kolegów, którzy zginęli, zostali zamordowani, czy też zaginęli w czasie obu światowych wojen, postanowiono podtrzymać propozycję ze zjazdu w Warszawie fundowania tablicy i umieszczenia jej w jednym z kościołów we Wrocławiu. Do sumy już zebranej od 1976 r. postanowiono dołożyć tyle, ile będzie potrzeba. Kwotę 10 000 zł zadeklarował od razu Franciszek Oleksiński.

A oto kilka opinii i wypowiedzi nadesłanych przez uczestników zjazdu do Karola Mytnika.

Ada Słotarska-Marcinowska „... pragnę jeszcze raz podziękować za zorganizowanie tak miłego spotkania. Sprawilo nam to wiele radości, odżyły wspomnienia. Odnowiliśmy nasze już czasami przerwane kontakty”.

Rudolf Mikuszewski „...jeszcze raz dziękuję za zaproszenie na zjazd, za gościnę i trud włożony w organizację tej tak bardzo pięknej imprezy”.

Michał Nikosiewicz „... spieszę, żeby Ci złożyć jeszcze

raz podziękowanie za tak świetnie zorganizowane przyjęcie. Wszyscy są przejęci i zadowoleni z tego zjazdu i chyba podtrzymają twoją inicjatywę”.

Janina Kroszenko-Ziołeczka „...dzięki za szalony trud... podziwiałam Pana energię i tempo... przyznaję się, że ja nie byłabym zdolna do takiego poświęcenia, jakie zaprezentował Pan – organizując zjazd. Tym bardziej doceniam wszystko”.

Tadeusz Domaszewski „...nie chciałbym być posądzony o jakąś „wściekłą pisania rymowanych słów” – ale lubię napisać dla wyrażenia siebie, stworzenia pewnego wzruszenia do miłszego nastroju, do którego się jadąc na zjazd – człowiek nastawia, a który swą odmiennością ożywia i odmładza. W 60 lat od pierwszej matury moje refleksje:

*Czy to nie gorzko, gdy starość dokucza,
otwierać drzwi młodości,
która wspomnieniem się narzuca,
szczęśliwymi latami przeszłości.
Spotkanych kolegów w Tłumaczu
i dzisiaj spotykać pragniemy,
choć czas nas rozdzielił...*

31 maja – 2 czerwca 1979 roku
Sopot

Sopocki zjazd absolwentów Państwowego Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu odbył się z okazji 40-tej rocznicy ostatniej matury w 1939 roku.

Z inicjatywą jego zwołania wystąpił w poprzednim roku w Koszalinie Franciszek Oleksiński. Do realizacji proponowanego spotkania powołano kolegów spośród tłumaczan zamieszkałych w Gdańsku. Komitet organizacyjny stanowili Anastazja Białkowska-Wrońska, Tadeusz Kłonowski, Stanisław Kurczab, Rudolf Mikuszewski i Franciszek Oleksiński. Po rozeznaniu się w istniejących możliwościach zdecydowano zwołać zjazd na terenie Wojskowego Domu Wypoczynkowego w Sopocie, gdzie zapewnione będą noclegi, wyżywienie i ewentualnie autokar do obsługi zaplanowanych wycieczek.

Oficjalnie zezwolenie na zorganizowanie zjazdu, wydane przez Urząd Wojewódzki w Gdańsku, stanowiło podstawę do podjęcia zasadniczych czynności przygotowawczych. Wydrukowano więc zaproszenia, które rozesłano do absolwentów wszystkich roczników oraz do trzech pedagogów, to jest do prof. prof. Marii Kroker, Olgi Skibniewskiej i Tadeusza Poźniaka. Ogółem wysłano 85 zaproszeń, na które otrzymano 68 listownych, telegraficznych lub telefonicznych odpowiedzi, w których 50 osób zgłosiło udział w zjeździe. Ostatecznie uczestniczyło 49 osób: Janina Agopsowicz, Zachariasz Agopsowicz, Kajetan Agopsowicz, Józefa Bilińska-Agopsowicz, Janina Agopsowicz-Torba, Anastazja Białkowska-Wrońska, Janina Białkowska-Pactwa, Ludmiła Bilińska-Filus, Ludwik Bloch, Helena Burczyńska-Nowak, Józef Czohara, Zenon Fiszer, Franciszek Gawenda, Marian Haraszkiewicz, Tadeusz Hoffman, Michał Ilczyszyn, Marian Kasperski, Tadeusz Kłonowski, Karol Kraus, Janina Ziołeczka-Kroszenko, Stefania Mańkowska, Jadwiga Matejko-Kolodziej, Anna Mierzwińska-Korczyńska, Rudolf Mikuszewski, Edwin Misiecki, Maria Molisak-Ossowska, Karol Mytnik, Michał Nikosiewicz, Franciszek Oleksiński, Irena Pelech Ruszel, Stefania Piotrowicz-Pytlak, Stanisław Prośba, Zbigniew Rachwał, Marian Rolewicz, Hanna Silber-Czechowicz, Karol Sokółowski z żoną, Roman Szeleżyński, Emilia Śniechowska-Bilut, Janina Tuzinkiewicz-Barchacz, Stanisław Kurczab, Gustaw Ładziński, Kazimierz Łoziński, Eugenia Mandyna-Trylska, Leonard Mandyna, Jan Wąsowicz, Wiktoria Wiszniewska, Bronisław Zuber, Zofia Żurbicka-Jakubowska.

W pierwszym dniu zjazdu, po zakwaterowaniu i spoży-

ciu śniadania, odbyło się spotkanie, na którym omówiono program pobytu. W tym czasie odbywały się również wzajemne rozpoznania i serdeczne przyjacielskie powitania. Tak, jak przed rokiem, często były to pierwsze spotkania po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu latach. Wszystko to wywoływało wiele wzruszeń i łez.

Po wspólnym obiedzie udano się autokarem na wycieczkę do Gdańska, gdzie zwiedzano Starówkę, Port Północny i złożono kwiaty pod pomnikiem na Westerplatte. Wielu w myślach przeżywało znów lata okrutnej okupacji i swój udział na wszystkich niemal frontach tej wojny.

Wieczorem tego dnia toczono w mniejszych lub większych grupach niekończące się rozmowy, które trwały do późnych godzin nocnych.

W drugim dniu zjazdu odbyła się wycieczka autokarowa do Malborka, gdzie zwiedzano Zamek i Muzeum. Przejazd tam i z powrotem szybko minął w bardzo miłej atmosferze, wśród śmiechu i śpiewu, zwłaszcza harcerskich piosenek.

Podczas wspólnej kolacji głos zabierało wiele osób, dziękując Komendzie WDW organizatorom za umożliwienie odbycia spotkania i doznania niezapomnianych przeżyć. Odczytano telegramy i listy od tych, którzy z różnych przyczyn nie mogli przybyć.

Z wielkim wzruszeniem przyjęto słowa listu przysłanego przez prof. Marię Krokerową, która napisała m.in.: „...zawsze ciepło wspominam czas spędzony w Tłumaczu, ludzi, z którymi się tam przyjaźniłam, młodzież, którą uczyłam. Był to okres także mej młodości, więc im bardziej posuwam się w latach, tym częściej i chętniej wracam myślami do tego cichego miasteczka, do starego budynku szkolnego w pięknym parku, do grobli nad stawem, do rozległych pól i małej stacyjki łączącej ten zakątek ze światem. Głęboko wzruszona pamięcią absolwentów, serdecznie dziękuję. Niestety obecny stan zdrowia nie pozwala na wzięcie udziału. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia oraz życzenia miłych przeżyć na tak dalekiej od Tłumacza ziemi i wiele radości ze wspomnień o *kraju lat dzieciennych*.”

Następnie dr Michał Nikosiewicz poinformował zebranych o postępie prac nad przygotowaniem do odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych lub zaginionych profesorów i uczniów tłumackiego gimnazjum. Stwierdził, że uroczystość jest planowana na jesień tego roku, w 40 rocznicę wybuchu II wojny światowej, a odbyć się ma we Wrocławiu. Zaapelował również o dalsze datki na ten cel, co nie pozostało bez echa.

Po wspólnej kolacji dr Michał Nikosiewicz wystąpił z prelekcją na temat 30-letniej historii Państwowego Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu. Po prelekcji wyświetlił zestawy slajdów, które obrazowały minione wydarzenia w gimnazjum, przypominały jego profesorów, absolwentów i uczniów. Były także widokówki i zdjęcia przedstawiające kościoły, cmentarze, ważniejsze budynki i ulice oraz uczestników różnych uroczystości szkolnych, harcerskich, państwowych i kościelnych.

Program trzeciego dnia, z uwagi na przyjazd do polski papieża Jana Pawła II, uległ zmianie. W dniu tym uczestnicy zjazdu oglądali transmisję telewizyjną z powitania papieża na lotnisku i w Belwederze oraz mszę św. celebrowaną przez Jana Pawła II na Placu Zwycięstwa w Warszawie.

W godzinach popołudniowych odbył się podwieczorek kończący zjazd, podczas którego dr Michał Nikosiewicz zwrócił się jeszcze raz z gorącym apelem do wszystkich obecnych, aby ocalić od zapomnienia wszystko to, co związane jest z Tłumaczem. Prosił, aby pisać wspomnienia i rozdał opracowaną przez siebie ankietę, która ułatwić powinna prace nad tym zadaniem. (c.d.n.)

Listy ● Informacje ● Apele

List Jean Stimma

Hawa, 7 IX 1997 r.

– stanisławowianina do kol. A. Panachidy-Bocheńskiej

(...) Niestety, nie mogę się zrewanżować taśmą video o naszym zesłaniu. Widziałem tylko w TV kilka filmów na temat Syberii, zesłanych tam ludzi, na temat łagrów itp.

Czas, kiedy tam byłem tylko wspominam i jak już skończę poszukiwania dokumentów, opiszę dla dzieci i wnuków – żeby wiedzieli.

(...) przysyłam Ci mapę Azji, mam nadzieję, że znajdziesz na niej swoją sowiecko-azjatycką gehennę.

Pozwoliłem sobie nanieść na mapę moją drogę z Syberii (zaznaczona zieloną kreską), drogę na „pobyt stały” (niebieska kreska), miejscowości, w których mieszkałem (czerwone kreski) i miejscowości „w których ja pobywałem” (czerwone kropki). Ostatnia miejscowość to Nowotroickoje (nazywało się wówczas Nowotrick). Stąd w czerwcu 1946 roku wracaliśmy do Polski na północny zachód w kierunku morza Aralskiego, w którym się wykapałem. Ot! wspominki!

Najgorsze to, że nikt za tą naszą poniewierkę, za obozy i za katowanie ludzi nie odpowiedział i mimo szumu, który od czasu do czasu się podniesie, już nie odpowie.

Wiadomo polityka to nie lada prostytutka.

Napisałem do MWD w Moskwie prośbę o wydanie mi zaświadczenia, że byłem w 1940 roku aresztowany i zesłany na Syberię, wskazując archiwa, gdzie przechowywane są dokumenty mnie dotyczące. Naturalnie żadnej odpowiedzi nie otrzymałem jeszcze, ale „nie popuszczę” nawet gdybym miał pisać do samego Jelecyna. Rozumiesz, że tylko takiego dokumentu brak mi do szczęścia. No nie?

Na tym kończę posyłając serdeczne życzenia zdrowia i aby do wiosny.

Jean Stimm

Fragment mapy Azji przysłanej przez p. J. Stimma z Francji publikujemy na tylnej okładce. Wskazuje ona miejscowości, do których zostali deportowani nasi tłumacze w 1940 roku.

Panu J. Stimmowi serdecznie dziękujemy.

Redakcja

Zawiadomienie

Zawiadamiamy wszystkich Prenumeratorów i Sympatyków, że nastąpiła zmiana i nazwa naszego konta. Prosimy adresować:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan
500-79 Wrocław, ul. Ruska 32/33. Konto bankowe:
PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Szanowna Redakcjo!

Przepraszam, że ja, Mazur z Prus Wschodnich, przyczepiłem się do Was, do Klubu Tłumaczan.

Pochodzę z tego małego skrawka dawnych Prus Wschodnich, z powiatu działdowskiego, na mocy Traktatu Wersalskiego bez plebisytu przyłączonego do Polski w 1920 r. Ukończyłem Seminarium Nauczycielskie w Działdowie. W czasie wojny walczyłem w Modlinie, a potem różne oflagi. Ostatni – Lubeka X C. I właśnie w oflagu spotkałem się z Marianem Rolewiczem z Tłumacza. Serdecznie zaprzyjaźniliśmy się. Przyjaźń ta trwała aż do Jego śmierci. (1986 r.) i trwa do dziś, mimo że On jest już na wiecznej warcie u Pana Boga, ale stale o nim pamiętam, myślę i modłę się w Jego intencji. I stąd moja prenumerata „Zeszytów Tłumackich”, gdzie, tak jak się spodziewałem, znajduję, spotykam wspominki i zdjęcia o Nim. Ogromnie się z tego cieszę. Niejako żyję z Nim nadal razem – tak jak bywało w obozach.

W czasie pobytu w obozach pomagał nam paczkami Jego starszy brat, poprzez przyjaciół z różnych stron Polski – ze Lwowa, a nawet z Kiele i Jędrzejowa. Niestety, też już dziś nie żyje. Obydwaj zmarli w Krakowie.

Dziś ja mam już ponad 84 lata i czekam na przejście na wieczną wartę. Serdecznie Was wszystkich pozdrawiam i życzę wytrwałości w dalszej pracy.

Z poważaniem
Alojzy Lipiński

Za ten wzruszający list i tak wspaniałą pamięć w imieniu tłumaczan składamy Panu podziękowania i życzenia zdrowia.

Redakcja

Apel!

Chciałam zaapelować do tłumackich Zuchów z zastępu „Kwiatów Polnych”, uczestniczących w Złocie Zuchów we Lwowie – 1938 r. Minie właśnie 60-ta rocznica tego zdarzenia!!!

Z mojej strony zapewniam, że przygotuję te wspomnienia.

Czesława Mandyna-Kramarz

W całej rozciągłości popieramy apel naszej Czesi i niecierpliwie oczekujemy relacji tłumackich „Kwiatów Polnych” ze zlotu we Lwowie. Apelujemy również do p. Sawickiej – Tońci Czuharzanki, harcmistrzyni o Jej wspomnienia z opieki nad zastępem „Kwiatów Polnych” we Lwowie w 1938 roku.

Redakcja

Podziękowania ● Ofiarodawcy

RADA OCHRONY PAMIĘCI WALK I MĘCZEŃSTWA

00 - 926 Warszawa, ul. Wspólna 2, Telefon: 628 45 04, Fax 628 03 75

L.Dz. R-VI/UR/342/97

Warszawa, dn. 17.12.1997r.

Pani
Danuta Tabińska - Juhasz
Redaktor Naczelny
„Zeszytów Tłumackich”
ul. Rуска 32/33
50-079 Wrocław

Szanowna Pani,

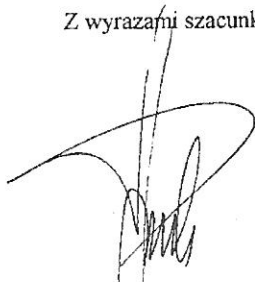
Miło mi Panią poinformować, że Prezydium Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przyznało kwotę 2.000 zł (dwa tysiące złotych) na dofinansowanie wydawania „Zeszytów Tłumackich”.

Kwota ta w najbliższym czasie przekazana zostanie na Wasze konto.

Bylibyśmy wdzięczni za przesłanie nam kolejnych numerów „Zeszytów Tłumackich”.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia oraz nadchodzącego Nowego Roku proszę przyjąć najlepsze życzenia dla Pani oraz całej Redakcji.

Z wyrazami szacunku



Podziękowanie

W imieniu Redakcji i wszystkich Tłumaczan dziękuję bardzo za wsparcie finansowe dla naszego wydawnictwa oraz za życzenia świąteczne.

Okazana pomoc umożliwi nam wydanie rocznika z dotychczasowych kwartalników tj. ośmiu numerów „Zeszytów Tłumackich”, które z wdzięcznością zadedykujemy Panu Generalnemu Sekretarzowi A. Przewoźnikowi.

Z okazji Świąt Wielkanocnych proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia Wesołego Alleluja oraz dla całego współpracującego z Panem Zespołu.

Danuta Tabińska-Juhasz

Redakcja ZT i Zarząd
Ogólnopolskiego
Oddziału Tłumaczan

Lista ofiarodawców

Ks. Lesław Dublewicz, Oborniki Śląskie	16 zł	Rudolf Waroszczuk, Brzeg	34 zł
Władysław Rzucidło, Wrocław	50 zł	Zygmunt Boniowski, Kraków	16 zł
Antonina Sawicka, Tarnów Opolski	10 zł	Anna i Stanisław Mierzwińscy, Gliwice	82 zł
Rada OPWiM, Warszawa	2000 zł	Ryszard Macek, Warszawa	50 zł
Kazimierz Biliński, USA	19,22 zł	Anastazja Bogucka, Gdańsk	22 zł
Władysław Hapoński, Lublin	316 zł	Janina Pactwa, Gdańsk	22 zł
Juliusz Petrus, Rzeszów	4 zł	Stanisława Hołyńska, Łódź	12 zł
Julian Obarymski, Jaworzno	4 zł	Jan Ślęzak, Wrocław	22 zł
Irena i Władysław Tomynowie, Warszawa	34 zł	Mieczysław Kotanowski, Wrocław	6 zł
Jerzy Pielasz, Gliwice	4 zł	Janina Kalinowska, Wrocław	4 zł
Władysław Czerznia, Miasteczko Śl.	1 zł	Janina Juszcak, Jelenia Góra	16 zł
Piotr Klich, Katowice	4 zł	Jan Lipiński, Głubczyce	26 zł
		Józefa Prymakowska, Nowa Sól	16 zł
		Ludmiła Bilińska, Kraków	16 zł

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania

Nasz słowniczek

Opracowała Helena Bilińska

Począwszy od tego numeru ZT zamierzamy drukować „Nasz słowniczek”. Zawierać on będzie wyrazy i zwroty używane w Tłumaczu i okolicy oraz wspólne dla całych Kresów Południowo-Wschodnich, a nieznanymi w innych regionach naszego kraju. Przy opracowywaniu słowniczka korzystaliśmy z pracy Zofii Kurzowej „Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do 1939 roku” oraz z materiałów nadesłanych przez Irenę Pelech-Ruszel, która jest pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia. Przyjemnej lektury!

Absztyfikant – adorator, starający się
ahi! – okrzyk pogardy, lekceważenia
ancug – ubranie, zwłaszcza męskie
a wo – mocniejsze informowanie, tłumaczenie się
bachor – dziecko albo niezdolne dziecko
badył – chwast
bajdurzyć – opowiadać zmyślane historie
bajer – zagadywanie, kłamanie
bajerować – kłamać, bujać
bajgiele – jajeczny precel żydowski
bajstruk – dziecko nieślubne, bękart
bajtłować – mówić, paplać
bajura – kałuża
balon – piłka gumowa
bałabuch – racuchy, pączki
bałakać – mówić, rozmawiać
bałamkać – chwiać się, majtać
bałwatuńcio – głupe
baniaczek – garnuszek
baniak – garnek metalowy
banta – grzęda dla kur
bańdzioch – brzuch, często duży, wzdęty
bańka – ozdoba choinkowa, bombka
barabola – ziemniak, nagotować baraboli
batiar – andrus, łobuz, ulicznik
batiarnia – zbiorowisko batiarów, hołota
bełtać – mącić, mieszać ciecierz

beretka – beret
besztać – lajać, krzyczeć
biedolacha – biedak
bisnowaty – narwany, głupi
Bich me – Bóg mi świadkiem
bławatek – chaber
bodiak – oset
bongu – spirytus
bratrura – piekarnik
brechać – kłamać
budny – zwykły, powszedni
bulba – ziemniak
buńdziurzyć się – nadąsać się
burmyło – nieokrzesany, gbur
burzan – chwast
buśko – bocian
chabal – adorator, sympatia, alfons
chajder – szkoła żydowska
chapanąć – chwycić
chyćkać – kołysać
ciumać – całować
cwajer – niedostateczna ocena
cwikiery – rodzaj okularów
cybuch – przezwisko Żyda
cymes – przysmak
czoehrać się – drapać się
ćwok – cham

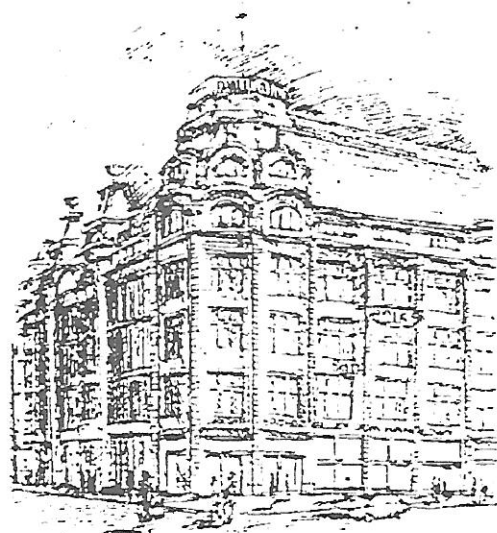
(c.d.n.)



Spółdzielczy Dom Handlowy
we Wrocławiu
Rynek 31/32

- oferuje:**
- parter** - artykuły spożywcze
- piętro I** - obuwie, galanteria skórzana, odzież dziecięca i zabawki, kosmetyki i upominki
- piętro II** - art. gosp. domowego, sprzęt zmechanizowany, sprzęt RTV, chemia
- piętro III** - odzież, artykuły sportowe i artykuły dekoracyjne

czynny:
od poniedziałku do soboty



Budynek został wybudowany u schyłku XIX wieku. Po wojnie, od 1946 roku jako Spółdzielczy Dom Handlowy jest miejscem zakupów Wrocławian i licznych turystów.



BANK ZACHODNI SA

Jesteśmy bankiem uniwersalnym, świadczymy blisko 100 usług finansowych. Prowadzimy ponad 700.000 rachunków w 165 placówkach na terenie całego kraju. Współpracujemy z 400 bankami w 56 krajach na całym świecie.

Misją naszego banku jest dbałość o Klientów i o bezpieczeństwo powierzonych nam pieniędzy. Naszą ambicją jest dostosowanie oferty świadczonych produktów i usług do potrzeb i oczekiwań rynku.

Dotychczasowy rozwój, zwiększający się systematycznie kapitał i fundusze, rozrastająca się sieć placówek i wzrastająca liczba naszych Klientów upoważniają nas do optymizmu. Zapraszamy więc do współpracy, do robienia wspólnych, dobrych interesów.

